

Bezpłatny dodatek niedzielny dziennika „Głosu Prawdy“

GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego

T Y G O D N I K

Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej

Ubiegły tydzień w polityce i literaturze

NIEDYSKRECJE:

Wywiad z Komendantem	434
O wieczny pokój świata	"
Hermann Müller	"
O zniesieniu prohibicji i... Lidze Narodów	"
Jednolita i niepodzielna Rosja	435
Dymisja gabinetu Vukievica	"
Nowy gabinet Venizelosa	"
Niefortunna wyprawa gen. Nobile	"
BEZPIECZEŃSTWO A ROZBROJENIE	"
DO ŹRÓDEŁ SIŁY POLSKIEJ ZA OCEANEM	
Leopold Tomaszkiwicz	437
OD RARAŃCZY DO KANIOWA Waclaw Li-	
piński	438
ROZBUDOWA POLSKIEJ Y. M. C. A. Sem-	
per Idem	440

„GŁOS PRAWDY LITERACKI“

Żeromski a Nałęczów Eugenjusz Land	441
Gawęda Roman Brandstaetter	443
Na marginesie jkb.	444
Przez co Sabała omijał jarmark na Kieżmarku	
Zanotował Wł. Orkan	"
Czy nie lepiej? Marja Marczyńska	445
Z niwy poloników T. Gleyden	446
Nowości francuskie J. Czapski	447
Z bibliofilskiej antologii Wybrał Este	448
Odpowiedzi Głosu Prawdy Literackiego	"

NIEDYSKRECJE

WYWIAD Z KOMENDANTEM pomieszczony w ubiegłą niedzielę w dzienniku „Głos Prawdy” poruszył sumienia. Odslonił ciemne strony metod pracy Rządu i parlamentu i oświetlił całą głębię niebezpieczeństw dla Państwa, płynących z nawyczek i obyczajów, wyhodowanych na organizmie rządzącym przez tych, którzy pragnęli mieć tytuły — bez funkcji, chwałę i splendor — bez wyników pracy mozolnej, na którą skazany być musi każdy rząd w Polsce Odrodzonej. Sporo jeszcze wody upłynie, zanim pozwolić sobie będziemy mogli na tworzenie tylko reprezentacyjnych urzędów. Skoro zaś zarówno szef rządu, jak i ministrowie muszą pracować, to z rozumienia tej prawdy wynikać powinien dla prawodawców obowiązek stworzenia takiego prawa, by rząd pracować mógł, wyposażenia go w środki i możliwości wykonywania zadania. Przejście z niewoli do wolności nie jest i nie może być łatwe, — tylko dokładne poznanie niebezpieczeństw, kryjących się w zachłynięciu się wolnością i zapoznaniu rzeczywistości, może stworzyć podstawy dla utrwalenia wolności. Tylko stosowanie najpełniejszego umiaru w wykorzystywaniu sytuacji może ułatwić rozwiązanie wielu trudności, rozwój pełnej demokracji. Wywiad z komendantem wywołał perfidną krytykę niektórych grup sejmowych, starających się bronić „honoru” parlamentu. Dziwna obrona w stosunku do twórcy parlamentaryzmu do b. Naczelnika Państwa, który z własnej woli i bez żadnego nacisku, a nawet wbrew wielu perswazjom, by tego nie czynił, pierwszy Sejm zwłchał! Dziwna obrona honoru ze strony tych, którzy honoru tego nie uszanowali na otwarciu obecnego Sejmu, zakłócając powagę jego karczemną awanturą w obronie niepoczytalnych komunistów. Tem dziwniejsze jeszcze, że ci sami panowie dziś obrażeni, nie obrazili się za stokroć dotkliwszą krytykę posłów w maju 1926 roku. Wówczas Komendant w słowach nie przebierał, gromił i chłostał — chłosta była bolesna i palić powinna do zgony. Wtedy się jednak nie obrażano, obrony honoru parlamentu nie próbowano podjąć. Nie było czego bronić. Zresztą nie o honor idzie, idzie o rzecz, o prawdę pracy i prawdę niemocy, o prawdę demokracji i życia Państwa i o kłamstwo taniego efektu. Należy jednak stwierdzić, że kłamstwem wielu słów i taniego efektu posługuje się zawsze niemoc.

**

O WIECZNY POKÓJ ŚWIATA tocząca się kampanja, na razie w notach i projektach różnorodnych znajdująca swe ujście, poczyniła na drodze ku realizacji poważny krok naprzód. Krok znamienity i być może decydujący. W nowym projekcie, wysłanym przez Kelloga zainteresowanym państwom — projekcie, którego podstawą jest zgłoszony w Genewie projekt Polski — w znacznej mierze zostały przyjęte pod rozwagę te objecccje, w których sformułowały się poglądy zarówno Francji, jak innych europejskich państw przeciwko tekstowi amerykańskiego projektu. To też nietylko nowy tekst „paktu Kelloga”, ale i obszerny jego komentarz liczą się z temi objecccjami. Największym atutem nowego projektu o wiecznym pokoju świata jest niewątpliwie, iż oświadcza on wyraźnie, że państwom które złożyły swe podpisy w Locarno, pozostawioną zostanie swoboda ich praktycznego stosowania również po podpisaniu paktu o „wiecznym pokoju”. Jeżeli moc układów, paktów o tej najszcześniejszej erze ludzkości, kiedy zamilkną raz na zawsze pioruny boga wojny wyraża istotnie tęsknotę ludzkości do „wiecznego pokoju” — ostatnie

wystąpienie amerykańskie zbliży — być może — przyszłe pokolenia do czasów, kiedy przed siłą zbrojną państw dominować będzie Sumienie i Prawo.

**

HERMANN MULLER ZDOŁAŁ STWORZYĆ WRESZCIE NOWY GABINET RZESZY. Metody powstania nowego rządu republiki niemieckiej odbiegały dość daleko od przyjętych dotąd obyczajów. Cały miesiąc trwały rozmowy pomiędzy frakcjami „wielkiej koalicji” — a przecież do zgody nie doszło. Rozbijało się wszystko o tradycję, która przenosiła wszelkie negocjacje na grunt partyjnych układów niejednokrotnie sprzecznych z prawdziwych układem sił społecznych w Rzeszy i opinią wyborcy. Stąd wynikała paradoksalna władza sfer nacjonalistycznych przy równoczesnej polityce locarneńskiej, której wyrazicielem był Stresemann. O jego też osobę rozbijały się daremnie usiłowania menerów, którzy na różnych stojąc stanowiskach, rozumieli, iż przyszły rząd Rzeszy bez Stresemanna może być zbyt drażniący dla Europy, zaczynającej nabierać zaufania do tego — być może — największego polityka nowych Niemiec. W reszcie układu wewnętrznego nowy gabinet Rzeszy jest raczej gabinetem „indywidualności” — aniżeli stronnictw. Przyjęcie z jakim spotkało się expose kanclerza na pierwszym posiedzeniu nie wróży łatwego żywota nowemu rządowi, a szereg „gorętszych” spraw, jak amnestja, rocznica niedaleka ogłoszenia republiki i... budowy nowych krążowników, rozpętają niejedną burzę w Reichstagu.

**

O ZNIESIENIU PROHIBICJI L. LIDZE NARODÓW mówić głośno w Ameryce nie wypada. Program wyborczy, wypisany przez kongres w Houston na sztandarze kandydata partji demokratycznej na prezydenta Stanów Zjednoczonych, nowojorskiego gubernatora Alfreda C. Smitha, zawiera szereg postulatów politycznych i gospodarczych, stanowiących wytyczne działalności ewentualnego prezydenta. Są to zwykle „wabiki” przedwyborcze, tak obficie w każdym demokratycznym kraju spadające na wyborcę przed głosowaniem, lecz rzadko realizowane. Znajdujemy więc w programie demokratów obietnicę zwalczania amerykańskiego militarysty i imperjalizmu; uswięcenie zasady niemieszania się do spraw republik łacińskich Ameryki Południowej (a więc żądanie wycofania wojsk Stanów Zjednoczonych z Nikaragui); postulat przywrócenia Ameryce kierowniczej roli na forum międzynarodowym — co wraz z nawiązaniem do tradycji Wilsonowskich, w dość mglisty sposób daje do zrozumienia o dążności demokratów do powrotu na łono Ligi Narodów. Toż samo unikanie stawiania kropek nad „i” widzimy w tej części deklaracji programowej, która dotyczy spraw wewnętrznych Stanów Zjednoczonych; wysuwa ona: szereg ulg ekonomicznych dla farmerów, wprowadzenie zniżek celnych na korzyść gospodarstw rolnych, ułatwienia imigracyjne, utrzymanie dotychczasowego „standard of life” robotnika amerykańskiego i t. p. O drażliwej zaś sprawie prohibicji — mgliste oświadczenie, które pozostawia właściwie wolną rękę prezydentowi, natomiast przez wyborcę może być komentowane jednocześnie, jako wypowiedzenie się za utrzymaniem prohibicji, i za zniesieniem tejże. W każdym razie już dziś jest pewnem, że w listopadowej walce między Hooverem a Smithem poza sprawą agrarną decydować będą dwie kwestje, pominięte przez obydwie partje oficjalnem milczeniem: czy Ameryce wolno będzie pić i czy wstąpi ona do Ligi Narodów?

**

„JEDNOLITA I NIEPODZIELNA ROSJA” przewędrowała z marzeń emigracyjnych czarnosecińców do umysłów sowieckich „realizatorów” Rosji współczesnej. W „Izwiestjach” z dn. 4 bm. prezes wszechzwiązkowego W. C. I. K'a Kalinin ogłosił obszerny artykuł z okazji (zachowując obłudną terminologię autora) „pięciolecia dobrowolnego przystąpienia Ukrainy do federacji sowieckiej. W artykule tym czołowy pionier obecnego regime'u wygłasza iście stołypinowskie poglądy w sprawach narodowościowych. Twierdzi mianowicie, że „partja komunistyczna winna podwoić wysiłki w kierunku jaknajdalej idącej unifikacji państwa sowieckiego”. Ośrodkowym tendencjom, które ujawniają się zwłaszcza na Ukrainie, Kalinin wypowiada ostrą walkę i projektuje rozszerzenie kompetencji rządu centralnego w Moskwie. Widzimy z tego, że oddawna nieistniejąca w praktyce autonomia sfederalizowanych republik, zaczyna czerwonemu caratowi zawadzać, nawet w teorii, w związku z czem należy oczekiwać wzmożenia represyj na tle narodowościowym. Podłożem nowych prądów antyukraińskich na Kremlu jak prawdopodobnie coroczny opór chlebobodajnej Ukrainy przy aprowidowaniu wygłodzonej Wielkorusji, co w związku z grożącym nieurodzajem, przybrało w tym roku wyjątkowo ostry charakter.

**

DYMISJA GABINETU WUKICZEWICZA w Jugosławii stała się w ub. środę faktem dokonany. Poprzedziły ją zebrania obydwu frakcyj rządowych, radykałów i demokratów, które uchwałyły utworzenie nowego rządu na zasadzie jaknajszerszej koalicji. Najdonioslejszą rolę w pokojowym likwidowaniu konfliktu, grożącego w pierwszej chwili, po tragicznych strzałach w Skupczynie, nawet zachwianiem jedności S. H. S., odgrywa król Aleksander. Zachowanie się monarchy jugosłowiańskiego podczas tragedji narodowej zjednało mu serce najbardziej zaciekłych opozycjonistów. Wdowa po zamordowanym Pawle Radiczu oddała swe sieroty pod opiekę króla, a ranny wódz opozycji Stefan Radicz ze wzruszeniem całował królewską rękę, leżąc jeszcze na stole operacyjnym. Mimo wszystko należy się spodziewać, że kryzys gabinetowy w Jugosławii potrwa czas dłuższy, przedewszystkiem ze względu na stanowisko Chorwatów, którzy przystąpią do rokowań dopiero po wyzdrowieniu Radicza. Przymuszalnie nastąpi to w ciągu tygodnia. Rana wodza opozycji chorwackiej już się

zabliźniła i w miarę jego powrotu do zdrowia zmniejsza się „zapalny stan” w Jugosławii. Krażą wieści, że misję formowania gabinetu król powierzy dotychczasowemu ministrowi spraw zagranicznych Marinkowiczowi, chcąc nominacją tą zadokumentować wobec zagranicy niezachwianą jedność królestwa S. H. S.

**

W CIĄGU 24 GODZIN Venizelos sformował nowy gabinet grecki. Jest to najkrótsze przesilenie rządowe w historii Grecji. Na pośpiech ten niewątpliwie wpłynęła groźna sytuacja wewnętrzna w związku ze świeżo zlikwidowanymi rozruchami robotniczymi w Macedonji. Nowy rząd nie stanie już zapewne przed parlamentem, jako że Venizelos ma podobno w kieszeni dekret Prezydenta Itonduziotyca o rozwiązaniu parlamentu, podpisany „in blanco”. Bądź co bądź, t. zw. desygnowani premierzy zaczynają stawiać prawdziwe „rekordy szybkości” w formowaniu gabinetów.

**

NIEFORTUNNA WYPRAWA GEN. NOBILE do bieguna Północnego zakończyła się tragicznie. W mroźnych pustkowia podbiegunowych znalazła śmierć większość załogi nieszczęsnej „Italji”; los bohaterkich lotników Amundsena, Guilbaux, Lundborga i Babuszki, którzy pospieszyli z pomocą rozbitkom z „Italji”, — uważać można za przesądzone. W związku z tragicznym wynikiem włoskiej ekspedycji nasuwa się pytanie, czy podróże do bieguna są wskazane i czy w jakimkolwiek kierunku powiększają zasób wiedzy ludzkiej lub przyczyniają się do odkrycia nieznanych dotąd bogactw natury? Poważna myśl naukowa Europy w ostry sposób potępia podobne szaleńcze wyprawy, których znaczenie, — poza kilkoma spostrzeżeniami meteorologicznymi, — jest minimalne i w żadnym stopniu nie jest równomierne z ofiarami, jakie ostatnia chociażby ekspedycja za sobą pociągnęła. Efekt podobnej wyprawy, zwróconej w innym kierunku, byłby niewątpliwie większy i bardziej dla ludzkości pożyteczny. — Szczególne rozgoryczenie wywołało zagranicą stanowisko generała Nobile, który wbrew zasadom morskim, pierwszy opuścił niebezpieczną krę arktyką, porzucając swych podwładnych w wielkiem niebezpieczeństwie na wolę losu.

BEZPIECZEŃSTWO A ROZBROJENIE

Polska i inne państwa europejskie w obliczu tych problemów

Nieodzownym warunkiem i naturalnym punktem wyjścia dla skutecznego rozbrojenia są gwarancje bezpieczeństwa. Teza ta zyskała już sobie prawo obywatelstwa zarówno przed forum Ligi Narodów, jak i w opinji powszechnej wszystkich krajów. Rezolucja XIV trzeciego zgromadzenia, a jeszcze dobitniej zalecenie szóstego zgromadzenia z września 1925 roku uzależniały realizację postulatów rozbrojenia od „zapewnienia dostatecznych gwarancji z punktu widzenia bezpieczeństwa powszechnego”. Jednocześnie z tem bezpieczeństwo — jest to ten fatalny kamień próbny, o który prysły wszelkie

dotychczasowe starania urzeczywistnienia redukcji zbrojei.

Uciekając się do formuł matematyki elementarnej, w celu większego uplastycznienia problemu bezpieczeństwa, — należałoby przedstawić go w postaci następującej nierówności: bezpieczeństwo każdego poszczególnego państwa należy uznać za pomyślnie rozwiązane w tym wypadku, o ile jego pokojowe siły zbrojne, powiększone o potencjalne (na wypadek wojny) tkwiące w nim czynniki, siły i reursy militarne oraz o podobne elementy uzyskane z powodu okazania pomocy ze strony ewentualnych sojuszników — wszystko to razem wzięte będzie stanowić siłę moralną, ekonomiczną i militarną większą od sił reprezentowanych przez przeciwnika i jego sprzymierzeńców.

Gdyby można było wyposażyć Ligę Narodów w dostatecznie silną, jedynie od egzekutywy Ligi zależną i nadającą się do łatwego i szybkiego zmo-

lizowania siłę zbrojną, czyli odpowiednio sprawny aparat militarny — stanowiłby on z natury rzeczy najlepszą gwarancję bezpieczeństwa powszechnego, a wraz z tem i cały problem rozbrojenia byłby znakomicie ułatwiony.

Postawienie tego aparatu do dyspozycji jednej ze stron walczących, a mianowicie tej, która zostałaby przez Ligę Narodów uznana za napadniętą, — musiałoby niechybnie przechylić na korzyść niej szalę zwycięstwa. Wobec tego jednak, że takie rozstrzygnięcie kwestji jest technicznie absolutnie niewykonalnem, zarówno jak i nierealnym narazie wydaje się projekt generalnego paktu gwarancyjnego, pozostaje jako jedyna droga do realizacji bezpieczeństwa, droga sojuszów regionalnych. Locarno nie stanowi właściwie nic innego jak typowy układ regionalny, ograniczony do sprawy zachodniej granicy Niemiec, prawdziwymi kontrahentami którego są jedynie Francja, Niemcy i Anglja, ta ostatnia w charakterze gwaranta. Współdział i podpisy innych państw nietyle może stanowić o uniwersalnym charakterze układu, ile raczej mają wyłącznie propagandowy, a więc, że użyjemy tego porównania, dekoracyjny w międzynarodowym sensie charakter. W ten sposób praktyka polityczna ostatniej doby dała dobitny wyraz temu, iż jedynie regionalne układy jako gwarancje bezpieczeństwa przedstawiają realną wartość i przeszły pomyślnie próbę życia.

W ten sposób zasada regionalnych paktów gwarancyjnych w połączeniu z regionalnymi traktatami rozbrojeniowymi muszą z natury rzeczy doprowadzić do rozbicia się Europy na cały szereg zamkniętych w sobie systematów politycznych, z których każdy, podległy swoim własnym prawom grawitacji, stanowi jednocześnie zrównoważoną w swych siłach militarnych całość.

Z podanej wyżej nierówności, jako matematycznego wzoru problemu bezpieczeństwa, wynika jednak, że w każdym z takich zamkniętych systematów musi istnieć zawsze jedno czy więcej państw, które pod względem swych wartości militarnych są mniejsze od przeciwnej strony. Czy jednak w takim wypadku można mówić o istotnej równowadze sił wewnątrz takich zamkniętych systematów regionalnych? Niewątpliwie tak. Należy tę równowagę rozumieć nie tylko w sensie materialnym ile w bardziej ogólnym: przewaga materialna jednej strony nie stanowi niebezpieczeństwa agresji dla drugiej, gdyż narodziła masowa apercepcja psychiczna pierwszej z nich stanowi absolutną gwarancję nie-agresji dla drugiej. Konkretyzując powyższe twierdzenie wystarczy powołać się na przykład Polski i limitroiw z jednej, a Rosji z drugiej strony. Nawet przy wprowadzeniu regionalnego rozbrojenia na wschodzie i w razie zupełnego rozbrojenia Rosji (co uważamy jedynie za paradoks) bezpieczeństwo Rosji nie zostałoby jednak wystawione w żadnej mierze na szwank, gdyż ani Polska, ani limitroiw nie mają żadnych politycznych, ekonomicznych czy militarnych postulatów do realizacji zbrojną ręką w granicach Rosji, a panująca w tych państwach opinja społeczna wyklucza wprost ewentualność zatargu zbrojnego. Podobnie sprawa przedstawia się i na zachodzie w stosunku do Francji z jednej a Niemiec z drugiej strony, z tą jednak różnicą iż dylemat reń-

ski jest znacznie uproszczony już przez sam fakt istnienia neutralnego (w rzeczy samej) gwaranta politycznego, jakim jest Anglja, której ewentualna interwencja zmieniałaby radykalnie stosunek sił.

Wychodząc z powyższego założenia, należy stwierdzić, iż jest zupełnie możliwem ustalenie dla jednej ze stron wskazanej wyżej nierówności (a mianowicie: dla strony, zawierającej w sobie potencjalne groźby agresji) pewnych konkretnych granic rozbrojenia; w zależności zaś od tych ostatnich mogą być również skonkretyzowane normy rozbrojeniowe wszystkich państw, wchodzących w skład tegoż samego regionalnego systematu. Tylko na tej drodze leżą realne możliwości stopniowego urzeczywistnienia rozbrojenia. Przechodząc od jednego regionalnego systematu do drugiego, wyczerpie się wreszcie wszystkie ogniska wojny w Europie i osiągnie się konsolidację całego kontynentu. Biorąc, jako punkt wyjścia, klauzule rozbrojeniowe, narzucone Niemcom w Traktacie Wersalskim, można z kolei określić normy prekluzyjne dla zbrojeń Francji i jej sojuszników i t. d. W każdym razie ani bezpieczeństwo, ani rozbrojenie nie mogłyby być pomyślnie rozwiązane, gdybyśmy nie dysponowali jakąś konkretną bazą, wielkością ściśle określoną, potrzebną nam koniecznie dla dalszych kalkulacji. Taką wielkością mogą być tylko siły zbrojne tych państw, które zawierają w sobie potencjalne groźby agresji.

Przechodząc do analizy pojęcia „bezpieczeństwa państwowego“ w jego obecnych warunkach, należy zaznaczyć, że składa się na nie bardzo wiele czynników, z których jedne mają mniej więcej stały, inne zaś przejściowy charakter.

Do tych ostatnich należą np. polityczne gwarancje bezpieczeństwa w postaci traktatów i konwencji obronnych, zawisłych od tego czy innego układu stosunków międzynarodowych, czyli od t. zw. chwilowej sytuacji politycznej. Do stałych elementów bezpieczeństwa należą natomiast mniej więcej niezmiennne wielkości, jak wyjątkowo dogodny położenie geograficzne (np.: Anglja, Rosja, Stany Zjednoczone), przewaga ilościowa ludności (np. Niemcy i Rosja), przewaga ekonomiczna (Stany Zjednoczone) w stosunku do ewentualnych wrogów. Te czynniki, jako wyniki z najgłębszej treści procesów naturalnych i historycznych, nie podlegają zupełnie lub poddają się tylko bardzo powolnej ewolucji, tak iż w każdym danym momencie historycznym mogą być z dostateczną miarą ścisłości przyjęte za stałe.

Dogodności lub niedogodności położenia geograficznego są w każdym poszczególnym wypadku indywidualne, zależne przeważnie od rzeźby terenu, jego orografji i flory i z tego powodu nie dadzą się w żaden sposób ująć w klasyfikację syntetyczną. Wobec tego musimy tu poprzestać narazie na jednym ogólnikowym stwierdzeniu, że najwyższy stopień bezpieczeństwa daje długa granica morska lub oceaniczna.

Zapatrząc się na położenie geograficzne Polski z tego punktu widzenia, skonstatujemy z łatwością, że należy ono do wyjątkowo niedogodnych, gdyż tak na wschodzie, jak i na zachodzie kraju Polska jest pozbawiona jakichkolwiek znaczniejszych granic naturalnych. Minimalny odcinek granicy morskiej, wynoszący około 70 klm., nie jest dostatecz-

nie broniony, ani z tytułu swych walorów taktycznych, jako bardzo łatwo dostępny dla floty nieprzyjacielskiej, ani tem mniej z tytułu posiadanej przez nas morskiej siły zbrojnej, której wartość bojowa nie stoi w żadnym stosunku do innych państw Bałtyku.

Jednakże brak przeszkody naturalnej, dajmy na to, pomiędzy Francją a Luksemburgiem jeszcze nie stanowił sam przez się dla Francji groźby niebezpieczeństwa, bo niebezpieczna pod względem fizjograficznym, — granica ta była dla niej zupełnie bezpieczną pod względem politycznym i militarnym. Z tego staje się jasną konieczność rozróżniania granic bezpiecznych od niebezpiecznych pod wspólnym kątem widzenia, a to równocześnie z uwagi na ich charakter fizyczny, jak i przez ich ocenę polityczną i militarną. Najmniejsze gwarancje bezpieczeństwa będzie posiadać państwo o największej długości granic niebezpiecznych i przeciwnie.

Po przeprowadzeniu odpowiednich obliczeń kartograficznych, można zestawić następującą tablicę porównawczą absolutnej długości granic niebezpiecznych dla interesujących nas najbardziej państw:

Anglja	—	0 klm.
Niemcy	—	1220 „
Francja	—	2045 „
Polska	—	3690 „
Rosja	—	7000 „

Przy tem należy nadmienić, że z ogólnej linii granicznej Polski, wynoszącej 4965 klm., potrącono jako bezpieczne następujące odcinki: z Łotwą — 85 klm.; z Rumunją — 380 klm.; z Czechami — 810 klm.; co stanowi razem 1255 klm., z których bezpieczeństwo na wypadek wojny nie jednego odcinka mogłoby być poważnie zakwestjonowane. Co zaś do Rosji, musimy zauważyć, że za bezpieczną granicę policzono odcinki graniczne z Afganistanem, Chinami (wraz z Mandżurją) oraz morskie granice Oceanu Lodowatego, morza Ochotskiego, morza Czarnego i Kaspjskiego. Wszystkie zaś inne policzono, jako niebezpieczne.

Dane, uzyskane z powyższej tablicy, będą jeszcze bardziej przejrzyste, jeśli uwzględnimy nie absolutną wielkość granic niebezpiecznych, a ich stosunek procentowy do całości linii granicznych odnośnego państwa. Po takim przeliczeniu powyższa tablica przyjmie jeszcze bardziej przejrzysty charakter, a mianowicie:

Anglja	—	0 %
Rosja	—	17,5 %
Niemcy	—	30, %
Polska	—	73,5 %

W odniesieniu do Polski z tych dwóch tablic da się wyprowadzić ten wniosek, że pod względem absolutnej długości granicy niebezpiecznej (3690 klm.) ustępuje ona jedynie Rosji. Pod względem jej stosunkowej wielkości do całości granicy państwowej (73,5%) — Polska jest postawiona w wyjątkowo niekorzystną sytuację.

Te niepomysłne warunki obronne Polski staną się jeszcze bardziej widoczne, gdy uwzględnimy, że przypada u nas jedynie 94 klm.² obszaru krajowego, czyli t. zw. „Hinterlandu“, na każdy kilometr grani-

cy niebezpiecznej, gdy w 1914 roku odnośny stosunek wynosił: dla Francji — 705 klm.²; dla Niemiec — 284 klm.²; a dla Austrii — 233 klm.². Podobnie i ilość ludności, przypadającej na jeden klm. granicy niebezpiecznej, jest w Polsce znacznie mniejszą niż w innych krajach, gdyż wynosi wszystkiego zaledwie 8108 ludzi, gdy w roku 1914 liczby te wynosiły okragło: dla Francji przeszło 51.000; dla Niemiec — 34.000; dla Austrii — blisko 18.000. Wobec tego, że zarówno obszar krajowy, jak i liczba ludności stanowią rezerwe resursów materialnych i moralnych wszelkiego typu, a więc przedstawiają właściwy miernik wzajemnego stosunku sił przy jednych i tych samych pozostałych danych, wyjątkowo niekorzystna sytuacja Polski staje się zupełnie wyraźna.

(D. e. n.).

T. Z. Kunisz

DO ŹRÓDEŁ SIŁY POLSKIEJ ZA OCEANEM

Jakkolwiekby spoglądać na stan rzeczy za Oceanem i oceniać wartość wychodźstwa polskiego w Stanach Zjednoczonych, jednego zaprzeczyć się nie da, że wychodźstwo nasze przedstawia spora siłę moralną i fizyczną. Rozbicie w czasie wojny, błądzenie po bezdrożach orientacyj i wyniki z tej wędrowki głębokie a do dziś tkwiące antagonizmy odebrały tej sile rozmach, odwagę, zdolność czynu. Nie odebrały jednak fundamentalnej spoiwości — poczucia łączności z krajem i jego losami. Na bezdrożach orientacyj wszak płonęło jaskrawo dla każdego rzetelnego Polaka upragnione słońce wolności. Ono szlak walki wyznaczało. Na tym szlaku znalazł się amerykański K. O. N. z jego wodzami ś. p. red. Kulańskim, prof. Siemiradzkim, red. Błażewiczem i w. i. Na tym szlaku znalazła się znacznie później, wprawdzie, ale niemniej zwarcie młodzież wojskowa, ożywiona ogniem zapału dla Polski. Jakkolwiek były zamiary organizatorów, stwierdzić należy stanowczo, że młodzież wstępowała w szeregi armii polskiej w Ameryce z jedną jedyną orientacją — miłością dla Polski i celem jej obrony.

Te więzi miłości kraju i ofiarnej dla niego pracy po wojnie pozostały pomimo przenikania partyjnych już zakusów wszeregach armii polskiej w Ameryce. Odbyty w maju w Buffalo Zjazd Stowarzyszenia Weteranów wykazał oblicze zdrowe i spoiwością żywe, dążeniami realnych potrzeb natchnione.

„Żołnierz—ochotnik — czytamy w uchwałach — ten, który przed dziesięcioma laty na zew Ducha Polskiego porwał się i biegł po przez lądy i morza, po przez obce ziemie do ziemi rodzimej na Jej ratunek, wierzy, iż choć walka na frontach się skończyła, jednakowoż praca i walka nie ze wszystkim jest skończona. Ten weteran z dawnej armii błękitnej, posłany przez milionowe wychodźstwo pragnie, by mu dano warsztat roboty społecznej po jego z armii powrocie.

Stowarz. Weteranów Armii Polskiej wie, że prasa polsko-amerykańska w życiu społecznym arcyważną rolę odgrywa, dlatego też delegaci na Zjeź-

dzie obradujący stwierdzają i deklarują pole roboty narodowej i społecznej uprawiać, nie chcą znać w tej pracy różnic, odchyleń, facyj i obozów, wychodząc z tego założenia, że zgoda i zrozumienie ogólnego dobra winne tu być najgłówniejszym czynnikiem i bodźcem. Stowarzyszenie stoi na stanowisku niewygasłych uczuć miłości i przywiązania do Polski za morzem i lojalności dla wychodźstwa i współpracy z niem na każdym kroku i o każdym czasie.

Hasłem Stowarzyszenia niech będzie hasło: Tak samo wierna służba w cywilu, jak wierna i ofiarna była w szeregach armii“.

W oparciu o takie hasła Weterani stać się mogą ważnym czynnikiem w organizowaniu jego błędnych jeszcze dróg ku właściwej kierunkowej pracy. Stać się mogą i powinni w współpracy i zespoleniu z innymi pokrewnymi ideowo organizacjami, jak Związki im. Józefa Piłsudskiego, wypadową kadrą polskości za Oceanem. I na tej drodze znajdą się niewątpliwie, jeśli hasła nie są tylko na święto, jeśli prosty duch żołnierski silniejszym się okaże nad podszepty ambicji i ambicyjek różnych małych wielkości, chcących z szeregów siły uczynić marjonetki własnego przedstawienia.

Należy się spodziewać, że przybywająca do Polski wycieczka Związkowców z Ameryki wniesie z sobą z powrotem na teren Stanów Zjednoczonych prawdę o rzeczywistości polskiej, o zjednoczeniu pod sztandarem Komendanta tego wszystkiego, co twórcze, wierzące, silne. Nie chcemy wnikać w głębokie spory, jakie tkwią w Związku Narodowym Polskim i zdając sobie sprawę z tego że wycieczka nie może obecnie reprezentować ogółu wychodźstwa, pragniemy powitać w nich rodaków z za oceanu, pracujących według najlepszej wiary, choć może według mylnych przesłanek. Pragniemy okazać im naszą wewnętrzną prawdę, prawdę naszego życia, by z niej zanieśli na ziemię Waszyngtona nową siłę w szeregi wychodźcze, siłę łączącą i wiążącą.

**

Jeżeli mowa o pracy nad odrodzeniem wychodźstwa, to powrócić tu muszę do czasu powrotu ze Stanów Zjednoczonych. Na zaproszenie Towarzystwa Emigracyjnego wygłosiłem odczyt o swych wrażeniach z pobytu wśród wychodźstwa. Dzięki pewnym nieścisłościom w sprawozdaniach z odczytu ukazały się w prasie amerykańskiej notatki, jakoby omawiając stosunek konsulatów do wychodźstwa, krytyką swą wystawił im ujemne świadectwo. Pośpieszam tedy wyjaśnić, iż mówiąc o przyczynach ostudzenia zapалу wśród wychodźstwa dla kraju, m. i. wskazałem na postępowanie niektórych konsulatów w r. 1918 i 19, a więc w czasie, gdy do tych konsulatów garnęły się istotnie całe masy interesantów, pragnących wieści o kraju. Sposób ich traktowania, jak mi opowiadano urągał wszelkim zwyczajom „urzędowania“. Podkreślałem jednak wyraźnie, że odnosi się to do dalekiej przeszłości. Obecnie stosunek konsulatów do wychodźstwa uległ głębokiej zmianie. Wprawdzie charakter pracy Konsulatów w Ameryce wymaga ludzi o sporem wyrobieniu społecznym, wprawdzie dotąd jeszcze konsulaty zbyt takich ludzi w znacznej części, pochłubić się

nie mogą, niemniej jednak zarzutu nieróbstwa, czy niechęci w pracy na placówkach stawiać im niemożna, — wręcz przeciwnie, sprężystość i szybkość w załatwianiu spraw zdumiewać musi. Podkreślałem też specjalnie zasługi ówczesnego konsula generalnego p. Gruszki, jego wielką inicjatywę i starania o utrzymanie trwałej łączności z wychodźstwem, nie mogłem pominąć milczeniem jednak faktu, iż brak staranności w załatwianiu materialnych spraw wychodźstwa, szczególnie spraw spadkowych wywołuje zawsze złe wrażenie. Odnosiło się to do prawnego przedstawiciela Konsulatu Detroitkiego w Cleveland, na pracę którego Polonja clevelandzka kilkakrotnie zwracała uwagę. We wszelkich jednak rozmowach wyczuwałem chęć przede wszystkim uzdrowienia stosunków, aby imię polskie mogło pełną zajaśnieć dumą.

Leopold Tomaszkiwicz.

OD RARANCZY DO KANIOWA

IV

Po tragicznym finale sprawy przysięgi, która rozbiła legjonowego żołnierza na dwa obozy — reszta Legionów, a więc II Brygada Karpacka została, jak się już powiedziało, przewieziona na front rosyjski. Ze względu na jej ostatnie ciężkie przeżycia moralne, nie obsadzono nią na razie żadnego odcinka frontu, lecz trzymano brygadę w rezerwie, w bliskiej odległości od frontu, pod rozkazami VII armji, bezpośrednio zaś w korpusie Kossaka.

Brygada stała na terenie wsch. Galicji, na pł. zach. od Czerniowiec, w stronach i okolicach, które dobrze znała z poprzedniej kampanji 1915 r. Dowództwo Polskiego Korp. Posiłkowego, a więc gen. Zieliński Zygmunt z szefem sztabu mjr. Nieniewskim stało w Łużanach, gdzie również obok toru kolejowego, prowadzącego do Czerniowiec rozlokowane były zakłady P. K. Posiłkowego, pułk 2 piechoty (d-ca major Żymierski) oraz pułk 3 piechoty (d-ca major Zajęc) stały rozlokowane we wsi Stare i Nowe Mamajowce, tam również stało dowództwo brygady, t. j. pułk. Józef Haller. Artylerja pod dowództwem majora Zagórskiego stała bardziej na północ w Koczmaniu, oddalonym od Łużan i Mamajowiec prawie o 20 kilometrów.

Linja bojowa biegła na wschód od Czerniowiec, oddalona od stanowisk legjonowych pułków piechoty o dwadzieścia kilka km., od stanowisk zaś artylerji, prawie o 40 km.¹⁾

Brygada Karpacka stała na tych stanowiskach szereg już tygodni, zajęta normalnym życiem obozowym. Ćwiczenia, pilna praca nad jaknajsilniejszym podniesieniem sprawności żołnierza, o którym nie wątpiono, że mimo wszystko stanie się przecież kiedyś kadrą przyszłej armji polskiej, kursy, przeszkolenia, — oto obraz codziennej, szarej pracy żołnierskiej, jaką przeprowadzano w II Brygadzie.

* Wśród tego, nieco zrezygnowanego nastroju, a przede wszystkim wśród bardzo silnego przemęczenia psy-

¹⁾ Centralne archiwum wojskowe. Teki legjonowe.

chicznego, wywołanego niedawno tragedją przysięgi—spadła naraz jak grom wiadomość o warunkach i zawarciu pokoju brzeskiego.

Straszną tę dla Brygady wieść przyniosły egzemplarze lwowskiego „Wieku Nowego“, egzemplarze obwiedzione czarną, żalobną obwódką.²⁾

Nie trudno sobie wyobrazić jakie wrażenie wywołała wśród żołnierzy II Brygady wiadomość o pokoju brzeskim. Jeśli społeczeństwo całe, którego synem był ten bezdomny legjonowy żołnierz tak żywo i tak gwałtownie zareagowało na otrzymaną wiadomość, jakże musieli ją odczuć żołnierze, którzy karabiny mieli w ręku. Jakże oni zareagować mieli, oni, którzy jeszcze niedawno przez fakt złożenia przysięgi, oświadczyli się ze swą ufnością w stosunku do mocarstw centralnych, wbrew stanowisku Józefa Piłsudskiego, duchowego Legjonów Wodza.

Tem tedy silniejszą myślała być teraz ich gorycz, tem głębsze rozczarowanie i tem gwałtowniejsza reakcja.

— Z chwilą zawarcia pokoju z Ukrainą i Rosją, rola Legjonów — pisze w swem wspomnieniu gen. Roman Górecki, podówczas najczynniejszy inspirator zbrojnego protestu — z punktu widzenia prawnopństwowego, została skończoną. I wtedy poczęło majaczyć przed nami widmo rozbrojenia. I przenikać poczęła nasze szeregi świadomość, że broni oddać nam nie wolno. A gdy już dawniej dochodziły nas wieści o tworzących się w Rosji i na Ukrainie formacjach polskich, poczęła dojrzywać myśl jasna: wypowiedzieć posłuszeństwo wrażym potencjom i pójść tam, gdzie dalej o Polskę bić się będzie można. I przychodziły refleksje, że jednak byli w naszych szeregach ludzie, którzy na długo przed tem ocenili właściwą rolę tych „sprzymierzeńców“, sprzymierzeńców, którzy w kazamatach twierdzy Magdeburgskiej więzili Twórcę nowoczesnej polskiej Armji Narodowej.

Żołnierze obawiali się podstępного rozbrojenia. Bywały wypadki, że w nocy budzili swego dowódcę kompanji alarmującą wieścią, że do Sadogóry przyszły pruskie bataljony, „by nas rozbroić“. Mimo wyjaśnień oficerów, że to plotki, wysyłali sami patrole, by się o tem naocznie przekonać.³⁾

Jak się już rzekło wyżej, II Brygada dowiedziała się o pokoju brzeskim w dniu 12 lutego. Na skutek gwałtownego podniecenia, jakie ogarnęło żołnierzy i oficerów, gen. Zieliński, dowódca Polskiego Korpusu Posiłkowego, widział się muszonym do wydania środków zaradczych. Żołnierz niezmiernie prawy i szlachetny, nie uznający możliwości istnienia żadnych warunków, w którychby mógł pogodzić się ze złamaniem rozkazu w stosunku do przelożonej władzy i w tym wypadku poza wpływaniem na uspokojenie żołnierzy, nie przewidywał żadnych innych środków. W tym też celu, w celu uspokojenia żołnierzy, zwołał następnego dnia, t. j. 13 lutego odprawę na godz. 4.30, w której wzięli udział: płk. Haller, majorowie: Zajac, Zagórski i Żymierski, szef sanitarny płk. dr. Rogalski, dowódca oddz. technicznych kpt. Hellman, pozatem ofi-

cerowie ze sztabu korpusu: kpt. dr. Górecki, oraz kpt. Pomazański, Lewartowski i Malinowski.⁴⁾

Gen. Zieliński, rozpoczynając odprawę, nakazał wobec widocznego podniecenia żołnierzy, wpływać na nich uspokajająco. Gdy zaś zapytał, czy ma ktoś z obecnych w tej sprawie co do powiedzenia, zabrał głos mjr. Żymierski, w ostrej formie występując przeciwko biernemu przyjęciu pokoju brzeskiego, a po nim mjr. Zagórski, który oświadczył, iż żołnierz nie może politykować.

Po nich zabrał głos kpt. dr. Górecki, który zapytał:

„Panie generale, zapytuję posłusznie, czy mogę wypowiedzieć moje zdanie w poruszanej dotychczas sprawie, choćby ono się nie zgadzało z tem, co pan Generał powiedział? Wychodzę bowiem z tego założenia, że jeśli mam na innych w danym kierunku wpływać, to przede wszystkim muszę sam o słuszności tego kierunku być przekonany, gdyż tylko wtedy mój wpływ osiągnie pożądany skutek. Pan Generał powiedział: „Mamy swój Rząd, czekajmy, co nasz Rząd zrobi i co nam rozkaże“. Tęby było możliwe wtedy, gdybyśmy naprawdę od naszego Rządu byli zależni, ale przecież my zależymy bezpośrednio od c. i k. 7-ej armji i od tego właśnie Rządu, który czwarty rozbiór Polski podpisał. Mamy czekać, co nasz Rząd zrobi, ale nasz Rząd nic zrobić nie może, bo jest bezsilny, on może tylko zaprotestować, rozwiązać się, ale czyn możemy przedsięwziąć tylko my, żołnierze. Pan Generał powiedział, że gdy nas rozbroją i rozwiążą, będzie to honorowe dla nas rozwiązanie sprawy. Według mego zdania, bynajmniej takie rozwiązanie nie byłoby dla nas honorowe, bo jakże. Trzy i pół lat, krwawych lat walki i trudów po to, aby czwartego rozbioru Polski doczekać, a potem być rozbrojonym i rozpędzonym. Major Zagórski powiedział: „My żołnierze, nie powinniśmy się mieszać do polityki“; gdyby chodziło tu o jaką walkę partyjną, o takie czy inne stanowisko w zagadnieniach polityki bieżącej, wtedy przyznałbym sam jaknajdalej odsunąć politykę od wojska, ale tu chodzi o co innego, bo o kwestję być albo nie być, o nowy zamach na całość i istnienie Państwa Polskiego i dlatego w tym wypadku my, jako żołnierze, nie możemy sobie powiedzieć: my się w politykę nie bawimy, lecz społeczeństwo całe czeka na czyn i na ten zdobyć się powinniśmy...“

Zdecydowane przemówienie kpt. Góreckiego było aż nadto wymownem świadectwem tej ciężkiej i bolesnej nad wyraz sytuacji, w której się znaleźli żołnierze II Brygady. Bez wyjątku czuli oni wszyscy tak samo. Protest, brzmący wezwaniem do czynu i do walki w głosie i treści cytowanego przemówienia kpt. Góreckiego był wykwitem jednolitego stanowiska żołnierzy i oficerów, z tego stanowiska czerpał swe źródło.

Nie ulegało też najmniejszej wątpliwości, iż ów zbiorowy nastrój II Brygady musiał przybrać konkretne formy zdecydowanej, jednolitej akcji.

Jeszcze w popołudniowych godzinach nie wiedzianno, jaką formę ta akcja przybierze. Płk. Haller sądził początkowo, że wystarczy tylko rozkaz odczytany żoł-

²⁾ C. arch. wojskowe. Teki relacji.

³⁾ Za kratami więzień i drutami obozów. Warszawa 1927.

⁴⁾ Za kratami więzień i drutami obozów.

nierzom⁵⁾, lecz wkrótce porwany został prądem chwili, która wzywała do jaknajbardziej ostrego wystąpienia.

Zwlekać nie było możności, akcję trzeba było przygotować natychmiast. „Czas biegnie, wzburzenie umysłów rośnie, przenika szeregi żołnierskie. Zaczynają się ponure szeptki o czekającym rozbrojeniu, widać pociągi pędzące bez przerwy w stronę Czerniowiec, pełne i przeładowane zbrojnemi pułkami. Żołnierz nie zna zamiaru Nacz. Komendy Armji austriackiej, sądzi więc, że to dla odebrania mu broni ściągają tak olbrzymie transporty, ściska silniej karabin, wziął się — broni dobrowolnie nie odda...“⁶⁾

W tym nastroju — wymownie skreślonym przez jednego z oficerów II Brygady — nie można zwlekać. „Następnego dnia, 14 lutego w południe, odbyło się w Mamajowcach zebranie oficerów 2 i 3 pułku piechoty oraz kompanji technicznej. Wiedziano — niejasno wprawdzie — ale chodzący słuchy i głośno dzienniki, że gdzieś na Ukrainie formuje się Korpus Polski pod wodzą Dowbora-Muśnickiego. Czyż mogło się lepiej nadarzyć. Czy było inne wyjście? Boć projektowano także zbrojny marsz na Lwów, skazany przecież zgóry na niepowodzenie. Oczywiście nikt nie wiedział pewnie, gdzie Muśnickiego szukać należy, zresztą była to sprawa wagi drugorzędnej. Wpierw trzeba przejść okopy austriackie, a to przy oddaleniu 40 km. od frontu zrobić nieoczekiwanie i niepostrzeżenie było bardzo trudno. To też w nocy z 14-go na 15-go lutego zebrali się dowódcy pułków 2-go i 3-go, wojsk technicznych i por. Rudka z Dowództwa Brygady, por. Wierzchlejski, jako reprezentant artylerji zamiast majora Zagórskiego i kpt. Górecki, jako reprezentant Komendy Korpusu. Ustalono dokładnie czas odmarszu każdej jednostki i naznaczono miejsce spotkania na godzinę 22.30 u zbiegu dróg z Sadogóry i Mahali. Porządek miał być następujący: otwiera przejście 2-gi pułk piechoty, za nim maszeruje artylerja bez armat, do których po tamtej stronie frontu nie byłoby amunicji, następnie tabory i zakłady, a straż tylną tworzyć ma pułk 3-ci. Ponieważ oddziały legjonowe stały w rezerwie, stąd też zapas amunicji był bardzo niewielki, a niektóre oddziały nie posiadały jej wcale. Obiecywano więc sobie zdobyć ją podczas przejścia przez okopy austriackie. Ponieważ marsz większości oddziałów odbywał się po szosie, wiodącej do Czerniowiec, pełnych wówczas wojska, oddziały techniczne miały się zająć wysadzeniem mostu na Prucie, telefonisci zaś przerwać mieli wszelkie połączenia stałe i polowe dla uniknięcia łączności.

(D. o. n.).

Dr. Wacław Lipiński

ROZBUDOWA POLSKIEJ Y. M. C. A.

Życie społeczne współczesnej młodzieży polskiej, jej aspiracje intelektualne, etyczne i polityczne, cały dorobek, jaki w ojczyźnie odrodzonej i w

⁵⁾ Za kratami więzień i drutami obozów.

⁶⁾ Tamże.

szkole wolnej pokolenie, które będzie kształtować jutro naszych dziejów, zdobyło pracą własną stanowisko w chwili obecnej pod wielu względami szereg symbolów, realną treść których odgadnąć i ściśle oznaczyć nie jest rzeczą łatwą. Dotychczasowe, datujące z czasów przedwojennych jeszcze formy organizacyjne młodzieży tak akademickiej, jak szkolnej i nawet ludowej, miejskiej i wiejskiej, przeżyły się. Dawna rola młodzieży, jako awangardy o wyrażonej akcji społecznej, skończyła się. Żadne afiszowanie, popisywanie się tym wyrazem: awangarda, nie zmieni faktu głębokiej przemiany w całym tonie i poziomie przeciętnym życia młodzieży akademickiej, i zastęp najmłodszych w Obozie Wielkiej Polski stanowi raczej arjergardę, skupiającą korporantów jedynie, pod płaszczykiem obrzędów rdzennie obcych najpiękniejszym tradycjom dawnych pokoleń młodzieży niepodległościowej, od których tak odbiegło domorosłe warcholstwo, datujące swój byt polityczny od napaści na pierwszego Polski Prezydenta.

Zainteresowania dla zagadnień moralnych, wychowawczych i naukowych wśród młodzieży akademickiej od lat kilku ustępują na plan coraz dalszy. Upadły lub tracą na wpływach liczne organizacje postępowe. Nawet katolicko-społeczne „Odrodzenie“ kurczy się, staje się zbędnym obok sodalicyj, skamieniałych w formach pozbawionych jakiegokolwiek kontaktu z życiem współczesnym. Nic nie słyhać również o Chrześcijańskim Związku Akademików, który zwalczając ślepy tradycjonalizm szukał odrodzenia etycznego młodzieży w nauce z Ewangelji płynącej, wspólnej wszystkim wyznaniom chrześcijańskim.

Harcerstwo, po którym się wiele spodziewano, nie roztacza wpływów poza młodzież szkół średnich, nie daje się wprowadzić na teren szkół powszechnych i nadal jest obce młodzieży chłopskiej i robotniczej, co jest poczęści winą jednostronnych politycznie i społecznie władz Związku Harcerstwa Polskiego. Na wsi działają różne koła młodzieży wiejskiej, ale ślady tej pracy giną jeszcze w morzu żywiołu niezorganizowanego. Można obiechać po kilka powiatów w każdym województwie Kongresówki, i nigdzie nie natknąć się na zorganizowaną w jakikolwiek związek młodzież wiejską.

A zdawałoby się, że procesy organizowania młodzieży i skupiania wrodzonej jej energii, inicjatywy i tego wzlotu nad poziomy, który w samej technice dzisiejszego życia codziennego przestał być romantyczną tylko apostrofą, ogromnie ułatwione są istnieniem i rozwojem organizmu podstawowego — Państwa i jego jednolitych organów wychowawczych. Dla spraw tych jednak najwyższy nasz urząd oświatowy, zaabsorbowany organizacją, reorganizacją i kontrolą szkolnictwa, z kodeksem autonomji pedagogicznej na jednym biurku, a tekstem konkordatu z Watykanem — na drugim, nie ma ani szczególnego zainteresowania, ani poprostu odpowiednich organizatorów. Dobrze się stało przynajmniej, że od pewnego czasu na ul. Bagateli nie bagatelizuje się roli inicjatywy społecznej w tej dziedzinie i nie oczekując, nawet nie obawiając się sądu ostatecznego w sprawach doczesnych, akcentuje się rolę dobro-

czynną i ze wszech miar poparcia godną takiej, na przykład, organizacji młodzieży, wspomagającej pracę wychowawczą szkoły i funkcje zasadnicze rodziny, jaka jest Polski Związek Młodzieży Chrześcijańskiej czyli Polska Y. M. C. A.

O zadaniach bieżących tej organizacji informuje doskonale wydany niedawno w Warszawie „Plan rozbudowy i rozwoju Polskiej Y. M. C. A.“. Jeśli chodzi o budynki, plan ten przewiduje w Krakowie—wybudowanie na placu już posiadanym brakującego skrzydła gmachu, w Łodzi i w Warszawie wzniesienie gmachów centralnych. Już po zatwierdzeniu tego planu dowiedzieliśmy się, że w Warszawie dokonana została transakcja kupna placu pod budowę własnego gmachu Polskiej Y. M. C. A. Plac ten położony jest na terenie dawnego ogrodu „Frascati“ i przylega do ogrodów Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych. Dzięki swemu położeniu, plac ten umożliwi wybudowanie gmachu o 4-ch frontach nad artystyczną całością którego czuwać będzie komitet, któremu przewodniczy prof. E. Wittig. W zakresie kwalifikacji wymaganych na przyszłość od personelu pracowników polskiej Y. M. C. A., wytycznych przy ich werbowaniu oraz podstawowych zasad szkolenia, opracowany został szczegółowy program praktyczny, podyktowany głęboką troską o wyrobienie pierwszorzędного zastępu wychowawców i zarazem działaczy społecznych, zdolnych do ujęcia w dłonie pewne i doświadczone sprawy kształcenia charakteru młodzieży, garnącej się z coraz większą ochotą i zaufaniem do Polskiej Y. M. C. A. Cele

i zasady postępowania tej organizacji, jasno sprecyzowane dalej, obalają wszelkie insynuacje, plotki, złośliwe domysły i poczciwe strachy o tajnych, masońskich, ba, nawet „wywrotowych“ zamiarach czy intencjach kierowników odpowiedzialnych Polskiej Y. M. C. A. W sposób zdecydowany i ostateczny wszelkie pod tym względem wątpliwości obala deklaracja następująca o celach społecznych Polskiej Y. M. C. A.:

„Uspołecznienie obywateli jest najpewniejszą rękojmią trwałości i spójności budowli Państwa. Celem społecznej pracy Pol. Y. M. C. A. jest głębokie przepełnienie swych członków poczuciem społecznym, by każdy codzienny ich uczynek był dowodem tego poczucia. Pol. Y. M. C. A. jednoczy na terenie swoim ludzi różnych klas społecznych, stanu majątkowego, poziomu wykształcenia, by się wzajemnie poznali i zrozumieli, wierząc, że tą drogą wyrobić się dadzą trwałe nici współpracy i współdziałania dla dobra kraju“.

Skondensowany w tej deklaracji program działania świadczy najlepiej, że zabiegając o wzniesienie na ziemi ojczystej monumentalnych Domów Młodzieży, sztab kierowniczy Polskiej Y. M. C. A. ma odpowiednie wysokie poczucie odpowiedzialności za atmosferę moralną w tych murach i że w kryzysie dzisiejszym życia organizacyjnego młodzieży polskiej w murach tych będzie ostoja tradycji filareckich i świt wyzwolenia z mroków przeszłości dla Polski młodej, najmłodszej...

Semper Idem

„GŁOS PRAWDY” LITERACKI

POD REDAKCJĄ J. KADEN-BANDROWSKIEGO

ŻEROMSKI A NAŁĘCZÓW

Z powodu odsłonięcia pomnika Stefana Żeromskiego i ciągle jeszcze spornej sprawy grobu Mistrza warto może zestawić rozrzucone tu i owdzie szczegóły, dotyczące stosunku autora „Popiołów“ do tej wsi w Lubelskiem, która przed wojną była dla zaboru rosyjskiego tem, czem dzisiaj Zakopane dla całej Polski: ogniskiem życia umysłowego w okresie letnim.

Już od początku XVIII wieku, jak wiemy z wspomnianych w „Ludziach bezdomnych“ pamiętników L. Dębowskiego, zjeżdżała do słynnych tutejszych źródeł żelazistych elita narodu, więc ks. Adam Czartoryski, biskup Cieciszowski, potem Andriolli, Odyniec, Deotyma, Sienkiewicz, Prus, Siemiradzki, Matuszewski, Ign. Radliński, Przybyszewski, Kazimierz Tetmajer, Daniłowski, Sieroszewski, Paderewski i wielu, wielu innych. Nikt jednak nie uczcił tak Nałęczowa, nikomu nie zawdzięcza tyle jego sławą i wziętość, jak Żeromskiemu.

Twórca „Dumy o hetmanie“ przyjechał po raz pierwszy do Nałęczowa, jako gubernator trzech córek pp. Górskich 1 września 1890 roku. Michał Górski, jak p. „Niewadzki z Cisów, wykupił folwark nałęczowski, który wbrew twierdzeniu w „Ludziach bezdomnych“ często zmieniał właścicieli, z rak moskiewskich i sprzedał park z pałacem“ na własność spółce udziałowej za bardzo umiarkowaną sumę, częściowo wypłaconą udziałami. W ten sposób Zakład zyskał własne podstawy, a spółka nowego i oddanego jej spółnika... Człowiek niezmordowanej pracy... z zaparciem siebie i zapomnieniem o własnych interesach planował i budował... tworzył drogi i działki... opiekujący się ubogimi, każdemu umiał dać u siebie pracę i kawałek chleba“. Ne darował więc wprawdzie p. Górski, jak p. Niewadzki, swej własności, ale uczynił wszelkie udogodnienia przy sprzedaży, a kapitał zakładowy nie wynosił trzech kroć, lecz tylko 150.000 rb. Tak przedstawia te sprawy miarodajna monografia, wydana ślicznie w r. 1925 w Warszawie p. t. „Z dziejów dawnego i współczesnego Nałęczowa“ (str. 129,124).

Pierwszy dyrektor, o którym wspomina i Żeromski, dr. Fortunat Nowicki „marzył o Zakładzie na wielką skalę, na miarę olbrzymich niemieckich kurortów. Nowi spółnicy pragnęli zapewnić sobie choć jaki taki dochód i traktowali Nałęczów, jako przedsiębiorstwo, bądź co bądź dochodowe. Na tem tle powstały też pewne nieporozumienia, które doprowadziły do ustąpienia Nowickiego ze stanowiska dyrektora“ (j. w. str. 129).

Od roku 1886 do 1899 jest dyrektorem dr. Konrad Chmielewski. „Na sezon letni administracja zakładu przygotowuje kilkanaście pokoiów, które za tanie pieniądze odnajmować można będzie na doby. Jest to znaczne udogodnienie dla ludzi, zmuszonych piec się latem w skwarze warszawskim, którzyby zapragnęli w ciągu kilku dni wypocząć i odetchnąć prawdziwym powietrzem.

W wioskach, otaczających Nałęczów zblizka, czyta całe, bez wyjątku prawie, młode pokolenie i daje się zauważyć znaczne dążenie do zdobycia oświaty, w bardziej oddalonych dążenie to słabnie... Nadzwyczajną poczytnością wśród publiki wiejskiej cieszy się tutaj „Czarownica“ („Dziurdziowie“ — Orzeszkowej).

Nie przytaczalibyśmy tej suchej i niezbyt ciekawej kroniki, gdyby nie wyszła ona z pod pióra „S. Z.“. Jedna z niewielu wogóle korespondencji Żeromskiego stworzona jakgdyby była dla pozytywistycznego pisma i ukazała się rzeczywiście w „Głosie“ warszawskim z r. 1890 nr. 51, w niespełna trzy miesiące po przybyciu do Nałęczowa: zaczynała się od krótkiego, bezbarwnego opisu, zawierała mnóstwo danych statystycznych w sprawie, która widocznie bardzo naszego pisarza wtedy już absorbowała, w sprawie analfabetyzmu oraz niespełniona obietnica szerszego omówienia sąsiedniej wsi, Bochnicy.

Blizko rok później ten sam korespondent w nr. 31 występuje przeciwko rozdrobnieniu handlu, przejęciu go przez żydów i wzywa do utworzenia sklepu udziałowego, „jaki przedstawia dobry interes, a nawet stanowi małą, nałęczowską ideję, bo może dokonać wypłenicia demoralizujących lud kramów i zmusić do produkcyjnej pracy albo emigracji kilkadziesiątu pasorzytów i oszustów“.

Jak widać mamy tu początek teorii solidaryzmu tak wspaniale potem przez Ż-go rozwiniętej i pogląd na jedną stronę kwestji żydowskiej, którego echo spotkamy w „Przedwiośni“. W nr. 39 z r. 1891 znajdujemy wzmiankę o epidemii cholery w Nałęczowie, którą to wiadomość Żeromski demontuje, wychwalając zdrowotność okolicy i fachową kontrolę sanitarną materiałów spożywczych i zabudowań, dalej prostuje informacje niepoehlebne o komunikacji między stacją a letniskiem, wreszcie w r. 1893, w nr. 6 pisze o agitacji emigacyjnej, jej horoskopach w tych stronach, a w nr. 7 o parcelowaniu ziemi w lubielskiem *).

*) Tu wzmianka o zamożnym chłopie, Ślimaku; nazwisko to znane z „Placówki“ nasuwa myśl, że wartoby zbadać również stosunek Prusa do Nałęczowa, dokąd stałe pisarz ten przyjeżdżał.

Chcąc skończyć z materiałem, dostarczonym przez tych 5 listów, których istnienie przypomniał niedawno W. Borowy, przeskoczyliśmy blisko trzy lata, obfitujące w wypadki zasadnicze dla naszego tematu. Listy w „Głosie“ ukazały się prawdopodobnie dzięki p. Oktawii z Radziwiłłowiczów 1-o voto Rodkiewiczowej, która Ż-go jako beletrystę do „Głosu“ wprowadziła; była ona pasierbicą dyrektora Chmielewskiego i równocześnie kasjerką w Zakładzie od r. 1890 do 1896. Przytoczona korespondencja o rzekomej epidemii nosiła charakter półurzędowy i była, być może, przez władze zakładowe inspirowana. W każdym razie miał pisarz o wadach i zaletach miejscowości, o wszystkich kulisach spraw nałęczowskich wiadomości z pierwszej ręki z chwilą, kiedy p. Oktawia stała się jego narzeczoną, a potem w r. 1892 żoną.

Jeśli chodzi o pierwsze wrażenie odniesione z Nałęczowa, to było ono ujemne z powodów od samego letniska niezależnych: „Śliczny jest Nałęczów ale dla zdrowych. Tacy chorzy, jak ja, na wszystko patrzą zdziczałymi oczami, pisał po dwutygodniowym pobycie. (Ruch literacki 1927 str. 276). Prędko jednak odzyskał równowagę, Nałęczów wzmocnił nadwątłone zdrowie i dał tę możność wewnętrznego koncentracji, jakiej gdzieindziej znaleźć nie mógł (St. Piolun Noyszewski, „Stefan Żeromski“ Warszawa 1928 str. 275). Żałował jej czasami, choć czasami winił ciszę Nałęczowa, że go rozstroiła i postarzała (j. w. str. 220). Nie uważał bowiem wcale Nałęczowa za ideał, a nawet „gryzł sercem“ aż nadto mocno. Krwawa satyra w „Ludziach bezdomnych“**) jest niewątpliwie przejąskrawiona dla wydobycia silniejszego kontrastu między zamierzeniami Judyma a warunkami lokalnymi, ale do dziś dnia przecież zaraz obok Zakładu znajduje się cuchnący staw, o który tyle walczy Judym. Że zdawał sobie sprawę z ujemnych stron klimatu miejscowego — mimo, iż oficjalnie wyrażał się inaczej — tego dowód znajdujemy w ironicznym ustępie listu do narzeczonej: przez zbadanie — pisze — gleby nałęczowskiej możnaby dowieść, „że w Nałęczowie niema malarji“ (Noyszewski j. w. str. 275).

Teśknął jednak za Nałęczowem w dalekich wojażach, pamiętał każdy szczegół, obraz jego wryty miał tak dobrze, że pisząc o Nałęczowie w oddaleniu od niego czy w „Ludziach bezdomnych“ (wjazd, park ze służą, źródłem i stawem, górą cisowską czyli Armatnią) czy przedewszystkiem we „Wspomnieniu o Adamie Żeromskim“ odtwarzał widoki nadzwyczaj wiernie, jak kiedyś wykaże bliższa analiza. Z okolic Nałęczowa podobno Wawolnica służyła za wzór dziurze prowincjonalnej, Gólgocie Ewy z („Dziejów grzechu“, a wieża arjańska z Wojciechowa powraca w „Walce z szatanem“) „Jakżebym chciał mieć teraz jej opis zrobiony przez Janka“ Witkiewicza, pisze w tym czasie zawsze sumienny wobec źródeł twórca w liście druk. w „Kurjerze Warszawskim 1927 nr. 105; fotografię wieży można

**) Zrozumiałą jest rzeczą, że o fakcie, iż Nałęczów to Cisy, nie wspomina monografia wydana przez Sp. Akc. Zakład Leczniczy Nałęczów, ale wogóle jakoś o tem się z niewiadomych powodów nie mówi.

znaleźć we wspomnianej monografii o Nałęczowie na str. 103 i w „Przepióreczce“.

Trudno ustalić bez specjalnych badań, ile fantazji mieści się w poszczególnych odbiciach pejzażu ziemi nałęczowskiej u Ż-go, ile prawdy ze stosunków nałęczowskich z przed dwudziestu kilku laty, ilu ludzi tamtejszych znalazło się w „Ludziach bezdomnych“ niezależnie od Rapperswyłu, który dostarczył główne typy. Byłoby rzeczą pożądaną, by liczni żyjący świadkowie pobytu Ż-go w Nałęczowie podali swoje wspomnienia do wiadomości ogółu; konfrontacja wzajemna dwóch rzeczywistości, nałęczowskiej i rapperswylskiej, i zestawienie ich z trzecią, będącą spojeniem dwóch poprzednich, cisowska, dałaby niewątpliwie ciekawe wyniki.

Zdaje się naprzykład, że pewne cechy dr. W. Lasockiego, jednego z wskrzeszcicieli Zakładu, zamiłowanego zbieracza, estety i ogrodnika weszły do wewnętrznej kreacji Krzywosada i zewnętrznego portretu dr. Węglińskiego. Dalej — Pochroń, to człowiek z Nałęczowa (z dow. współ. Nał. J. W. str. 163, 122-3, 10, 14). Być może, że i Judym nie znalazłby się w Cisach, gdyby nie dr. Nowicki, który, jak już wspomniano, wskutek opozycji innych kierowników Nałęczowa nie mógł przeprowadzić utopijnych podobno reform.

Judymowi jedynak dał Żeromski najwięcej z siebie. Działalność bohatera pierwszej powieści Ż-go ma wiele wspólnego, jeśli niezawsze w faktach, to w każdym razie w ich podłożu, z akcją Ż-go w Nałęczowie. Już w przytoczonej korespondencji wspomina o małej idei nałęczowskiej; buduje wielką ochronę, wspaniała szkołę ludową Tow-a „Światło“ w stylu zakopiańskim (podobno za honorarjumi otrzymane za „Dzieje grzechu“ E. L. Migasiński „Wspomnienia o Stef. Żer. Warszawa 1927 str. 7.48), na której cel stworzył wydawnictwo zbiorowe, bardzo zresztą ciekawe „Na nową szkołę“ (1907). Organizuje inteligencję i lud, przemawia na wiecach, urządza koncerty, pochody, pierwszy w Polsce Uniwersytet Powszechny (Jan Witkiewicz w „Głosie Prawdy“ 1927 nr. 316), kursy dla dżiawty, do których wciąga wszystkich wykładowców miejscowych i wielu zamiejscowych (St. Posner „Stefan Żeromski“ Warszawa 1926 str. 28; K. Szokalski w „Kur. Porannym“ 1928 nr. 175). Marzy o Muzeum Nałęczowskiem, zapala się do idei tego regionalnego, jakbyśmy dziś powiedzieli, ogniska wiedzy (Noy-szewski j. w. str. 274-5). Nawiasem mówiąc zapoczątkowane zbiory nałęczowskie przeniesiono w r. 1919 do muzeum Ziemi Lubelskiej w Lublinie, a wśród nich znajdują się pewnie i owoce poszukiwań Ż-go z tej okolicy. Grywa w teatrach amatorskich, w „Czyjej winie“ Sienkiewicza. (Z daw. i współ. Nał. j. w. str. 183), odkrywa talenty aktorskie np. Wandy Osterwiny w „Śmierci Ofelii“ (Almanach teatru bydgoskiego 1924 str. 102), śni o teatrze ludowym i o odpowiednim dlań gmachu na Poniatówce.

Terenem, na którym te domy szlane i bice z piasku powstały, była willa Oktawja, a potem tak zwana „chata“ za willą samotnie ukryta. Budował ją pisarz własnymi niemal rękami z przejęciem, tak zrozumiałem u szlachcica i to potomka, jak dziś dzie-

ki badaniom Noy-szewskiego wiemy, rodu ze stron mickiewiczowskich. Tu powstało tyle dzieł Mistrza w ciągłych jego do Nałęczowa nawrotach i w tej chacie mają być zebrane po nim pamiątki. Tu żył, ostatnie chwile spędził i skonał ukochany jedynak Żeromskiego i na tym terenie (dziś pasierbicy Ż-go, o której tyle we „Wspomnieniu“, Henryki Janowej Witkiewiczowej) wybudował mu Ojciec mauzoleum wg. projektu Jana Witkiewicza, a roboty Piotra Łuki. Niewiadomo, czy życzenie pisarza, by spocząć obok syna, nie było przelotne, ponieważ w testamencie swym, wspominając o grobie Adasia, nie mówi nic o miejscu spoczynku dla siebie. W każdym razie grobowiec ten był łańcuchem ostatnim i najsilniejszym, materialnie niemal łączącym Nałęczów z Żeromskim.

Nałęczów nie ukształtował duszy pisarza, jak „puszcza jodłowa“, nie odezwał się w jego twórczości echem tak szerokim, jak Pomorze, bo też pejzaż nałęczowski nie może iść w porównanie z niezwykłością Gór Świętokrzyskich czy Helu. Przedewszystkiem osobisto-rodzinne węzły zadecydowały o sentymencie Ż-go dla Nałęczowa, w drugim dopiero rzędzie krajobraz pospolity, dla wsi polskiej typowy i przez tę typowość może bezcenny wywarł silne piętno na Żeromskim: miarą tej siły poemat-homagium, złożony cichej wsi lubelskiej we „Wspomnieniu o Adamie Żeromskim“, Częstochowa 27.VI. 1928.

Eugenjusz Land.

GAWĘDA

*W komnacie kalinowej, pod ciosanem niebem,
przy mocnym siadłszy stole i podpartszy głowy,
pogwarzymy sąsiedzie o razowym chlebie
i o butli spleśniałych ciężarze lipcowym.*

*Pogwarzymy o żniwach, o pachnących zmierzchach,
o myślistwie powiemy kilka mądrych słówek,
o rumakach, o lejach, o biczach i wierszach,
popijając powoli przedni miodny trunek.*

*O szachach pomówimy, o fajkach, o lulkach,
o trefnych żartach żaków, o żartach czartowskich,
o wczorajszej przygodzie arendarza Srukla,
o karczmach na rozstaju, o karczmach żydowskich.*

*I o śmierci pomówim, o życiu, co mija,
jak ta chwila wieczorna, jak radości pora,
o rosie, co po latach oczom blaski wyje,
o ziemi, co jest ustom jakże bardzo skora.*

*I podniósłszy szklanice, w miesięcznej poświacie,
hukniesz do mnie, sąsiedzie: Zdrowie mościdzieju!
ja ci wtedy odrzeknę: Mów mi, Józefacie,
a ty mi wtedy rzekniesz: Mów mi, Tymofieju.*

Roman Brandstatter

NA MARGINESIE

Wyszedł (u Gebethnera i Wolffa) XXV tom pism Elizy Orzeszkowej w układzie prof. A. Drogoszewskiego. O ile za życia wielkiej Pisarki nowe wschodzące mody literackie odsuwały ją przedewcześnie, jakby na drugi plan, o tyle z biegiem lat zyskuje ona w perspektywie oddalenia coraz więcej barwy i niezwykłego uroku. Zaiste, czas pracuje dla Orzeszkowej. Skromność jej stylu, rytmiczny spokój tej prozy, sposób patrzenia dokładny, przedmiotowy, rozumny, łączący się przedziwnie z gorącą dynamiką uczucia sprawiają, iż książki Orzeszkowej czyta się — z coraz większym wzruszeniem.

Szafa zewnętrzna pism schludna, druk porządkowy, choć nieco drobny, a przecież w wydawnictwach tego rodzaju, obliczonych na młodzież i szerokie masy czytelnicze należałoby stanowczo unikać zbyt drobnego druku.

**

Zdolny malarz Rafał Malczewski w zbiorze nowel „Narkotyki Gór“ (Gebethner i Wolff) debiutuje na niwie prozy, jako pisarz władający prostym, chwytliwym językiem. Umie doskonale patrzeć, porządkuje krajobraz systematycznie, umie widziany świat nasycić powietrzem, rozgłosem, słońcem, wiatrem i wodą, pięknie odczuwa góry, — postaci ludzkie natomiast traktuje. — zbyt sumarycznie.

Zjawiają się one poprostu gwoli związania danych tematów nowelistycznych i przeważnie żyją życiem narzuconego przez autora symbolu, nie zaś własnym.

**

Opowieści Morskie Stanisława Marji Stalińskiego są pierwszym zebraniem tomem nowelisty znanego już publiczności. Debiut Stalińskiego jest bezspornie udany, mimo, że budzi poważne zastrzeżenia: Najpoważniejszym może z nich jest niezmierna łatwość, płynność, potoczność słowa i okresu. Staliński ma zawsze pod ręką mnóstwo wygodnych i dorodnych określeń, mnóstwo porównań o szerokim, zbyt szerokim rozpięciu. W łatwości pracy stylistycznej dochodzi częstokroć do mielizn nużącej monotonii.

Łatwość pracy zdaje się w tym wypadku wpływać ujemnie na budowę opisu, na stopniowanie wrażenia i sam przewód opowiadań. Staliński znajduje zawsze w poruszanych przez siebie konfliktach wyjścia najłatwiejsze, które jednak wkraczają często w dziedzinę zdawkowości literackiej.

Jako pisarzowi „morskiemu“ nie potrzeba z pewnością zalecać Stalińskiemu Conrada: Dlatego, że czytał chyba Conrada i również dlatego, że zachodzi tu różnica miar, Conrad bowiem jest geniuszem. Niemniej przeto, gdyby Staliński, biorąc się do swych morskich opowiadań przypomniał sobie intensywność pracy Korzeniowskiego, harmonię jego opisu, straszliwe stopniowania potęgi wyrazu, — z pewnością umiałby uniknąć wielosłownej rozwlekłości.

**

Dom Książki Polskiej wydał Jana Augustynowicza powieść p. t. „Piekło“. Jest to powieść o niesłychanie pięknej kobiecie, zarazem demonicznej,

za którą wszyscy szaleją z niezmierną egzaltacją. Szaleństwo ludzi obdarowanych wdziękami bohaterki jakgdyby udzieliło się autorowi powieści, który przez 322 strony dużego formatu nie zchodzi z patetycznych koturnów. Autor księdza Prota w ostatniej swej powieści staje już nieomal na granicy, — za którą zaczyna się pospolita, najpospolitsza literatura kolejowa.

**

Do wielu głosów pro i contra Akademia Polska przybywa nowy p. Z. Lempickiego. Lempicki znajduje wyjście pośrednie pomiędzy Akademią i Izba, razi go natomiast sprawa pensyj akademickich, które wprowadzają do całej dyskusji „moment bardzo niesympatyczny“. Zapewne, — sprawa pensji, czy pieniędzy zwłaszcza fałszywie rozumiana wprowadza do życia wykłych śmiertelników a może nawet artystów, uczonych i profesorów uniwersytetu wiele momentów niesympatycznych. Trzeba chyba jednak rzeczy brać realnie. Bardzo realnie: — że wszyscy za pracę pobieramy w dzisiejszym ustroju jakąś płacę. Marzycieli tak wzniosłych, iż samo wspomnienie pieniądza przeszkadza im w dyskusji odsyłamy do ostatniego Rocznika Kasy Mianowskiego, gdzie Autor Wypraw Polarnych, drukuje swój życiorys.

Z życiorysu tego dowiedzą się marzyciele, — chyba nie bez pożytku, — jakto uczony polski a zarazem działacz, błogosławi nieomal więzienie zaborcy, gdyż w więzieniu tem ustaje nareszcie troska o chleb codzienny i — nareszcie, — można poświęcić się pracy. Jakto — później, — uczony polski, badacz, przyrodnik, — długie miesiące spędza przy biurku, jako referent pocztowy.

Sądzimy, że tego rodzaju sprawy istotnie wprowadzają nawet w życie uczonych momenty „bardzo niesympatyczne“.

jkb.

PRZEZ CO SABAŁA OMIJAŁ JARMAK NA KIEŻMARKU

Sabała w młodszych latach, jak zresztą wszyscy Krzeptowscy, lubiał wylatować przy czasie „po interesie myśliwskim“ za wierzchy. Czy przez to, że na tej tu, polskiej stronie Tatr mniej było zwierzyny, czy, że na cudzym terenie śmieiej było wobec większego niebezpieczeństwa raubszycować: liptowska strona, południowa, była celem myśliwskich wycieczek skrzydlatych Zakopiańców. Ze zaś Liptacy, naród twardy, strzegli zacięcie prawa swej własności, wywiązał się trwały stan wojenny między oboma plemionami. Nierzadko też do krwawych przychodziło z przyczyny owej porachunków. Zaznaczyć przytem wypada, że wybitniejsi myśliwcy po tej i po tamtej stronie znali się z postawy i z imienia wzajem jak walczący naprzeciw bohaterowie homejcy.

Więc jednego razu wyleciał Sabała na „tamtą stronę“, na kozy. Ustrzelił capa — i, zaledwie zdążył flintę dla bezpieczeństwa śrutem nabić, widzi: Luptaków, którzy się tu widać zasadzili, doń pędzi...

Nie było się ni chwili co ważyć. Ostawił capa — i ucieki... Sądził, jak jeleń, gdy kupa ogarów tuż-tuż ma go dopędzić. Przypadł nad osypisko — i w momencie gdy miał hybnać w przepaść, odwrócił się i wygarnął z flinty do tej kupy. Poczem zjechał po piargu kilkadziesiąt metrów — i już wdziera się w górę po przeciwnym zboczach. Obziera się i widzi: kupa Luptaków stoi nad urwiskiem — widać wstrzymała ich flinta — a jeden z nich, znajomy mu dobrze, jedną ręką zasłania „wyfuknięte” oko, a drugą grozi Sabale.

— Pocekaż-ze se, Jasiu — woła — bo ja cie dońdę...

Sabała dobrze wiedział, co ta zapowiedź znaczy. Już się też i nie obejrzał więcej. Darł, co sił, ku przelęczy — szczęśliwie dostał się na polską stronę — nareszcie i na Krzeptówki, do domu.

Nikomiu nic o przygodzie nie rzekł. To też cudno nieraz onym było, którzy znali jego „maturę myśliwską”, że Sabała przestał wylatować na „tamną stronę”. Polować bo polował, niejedną kozę, ba niejednego nawet niedźwiedzia ustrzelił, ale jeno tu, po stronie naskiej, a luptowską statecznie omijał.

No i minęło tak roków coś dwadzieścia. Aż ci jednego razu „Ich Wielgomożność pan Chałubiński” powiada:

— Zbierzcie się wartko, Sabała, mam interes: pojedziemy do Kieżmarku na jarmark.

(Kieżmark w Luptowie, wiecie, jak Nowy Targ na Podhalu: oko istne, stolica).

Nie bardzo się to Sabale zwidziało, ale „coż sie bees Ich Mielkości panu Chałubińskiemu przeciwil?”

Zaprzął Sabała konia — pan Chałubiński siadł — sam Sabała furmanil — pojechali.

W Kieżmarku — jako w mieście zwyczajnie czasu jarmarku: harmideru, krzyku, wozów, ludzi pełno; naród z okolic dalekich ściągnięty, a sami prawie Luptacy.

Pan Chałubiński poszedł za interesem swoim po jarmarku — Sabała został przy wozie. Odhuzdął konia, dał mu obroku i coś koło wozu dudrze, aż ci widzi: jakiś Luptak, o jednym oku, zachodzi z tej, to z tej strony i tem okiem się mu przy-patruje...

Juścić Sabała odrazu go poznał. Dusza mu w pięty uciekła. Ba! Możecie wiedzieć: jest na jarmarku w Luptowie.

— To-ś to ty, Jasiu? — rzecze z uśmiezkiem ów Luptak.

Sabała już śmierć swoją widzi w tym uśmiechu. Ale nie daje nic poznać po sobie, jeno najobojetniej odpowiada:

— E o kogoż sie pytacie?

Stropiło to trochę jednookiego Luptaka.

— E-ś to pono ty Sabała? — rzecze już niepewniej.

— Ho! — uniósł Sabała kapelusza. — Sabała!... Niech mu ta Bóg grzyhy odpuści... Dawno pomar. Juz kielka roków usło, jak pod trawnikiem leży.

I widząc, że Luptak trop zmylony chwycił, jął się dalej rozwodzić:

— Dy ta gwarzą, ze ja niby do nieboscyka Sabały (świeć Panie nad jego duszą) mam być żywoistnie podobny, bo-ch ta niby krześniak jego i tak tyz samo, jako on, z Krzeptoskich... Ale ka mi ta

do Sabały! Co ta s'nim kogo równać! Był to clek, był!...

I poczyna się Sabała (t. j. siebie nieboszczyka) chwalić, jak jeno najlepiej umie.

Zmyliło to już do reszty Luptaka. — Hm... — poczał dumać. — Niby on, i niby nie. Dwaścia roków minęło...

Nik nie wiedział, co sądzić. Poszedł po jarmarku, zwołał znajomców - Luptaków, co Sabale Jasia znali: „moze wto trafi...”

Obstąpili Sabale kolem, każdy (się mu pilno przypatruje — (a Sabała kapelusza poprawia, wóz smaruje: świat mu niby poza wozem całkiem obujętny).

Nikto nie wie, co pewnie powiedzieć. Dwaścia roków, to przecie...

Na to nadchodzi sam pan Chałubiński. Co miał w jarmarku, posprawiał. Zerknął ku nadchodzącemu już zdala Sabała, nieznacznie dał mu znak okiem („Ho! Ich Wielgomożności nie trza było wiera, jak to insemu łopata — zaraz zmiarkował, ze coś sie świeci...”)

Nim jeszcze się do wozu zbliżył, Luptacy ku niemu:

— Cy to Sabała? — pytają, skazując na furmana.

Pan Chałubiński („juz zrozumiał, o co to rzec”) odkrecił głowa, że nie. Podszedł do fury (już była gotowa), wskoczył na siedzisko — Sabała przed nim ujął lejce: Luptacy się przed nimi zwolna rozstąpili...

— Ho! — powiadał potem sam Sabała. — Jak my sie z tego koła wydobyli — jak-ech zaciał konia — to wóz jakby skrzydeł dostał... Ino sie drzewa mi-gały. — Juz-ech odtąd na jarmark do Kieżmarku nie jeździł.”

(Zanotował Wł. Orkan)

CZY NIE LEPIEJ?

Niejednokrotnie już na łamach tygodnika „Głosu Prawdy” spotykałam się z artykułami dotyczącymi wykładu literatury polskiej w naszych szkołach. Cały szereg bardzo trafnych uwag nasunął mi na myśl inne zagadnienie, z którym stykam się w praktyce od pewnego dość długiego czasu. Jest to kwestja wykładu literatury polskiej w szkołach rosyjskich na Kresach Wschodnich. — Są to szkoły prywatne prowadzone przez Komitety Rodzicielskie, bądź przez Rosyjskie Towarzystwo Dobroczynności w Polsce, które ma nieomal we wszystkich kresowych miastach powiatowych swe oddziały.

Szkoły prywatne niepolskie obowiązują programy państwowych zakładów naukowych. A zatem w 4 klasie przewiduje program języka polskiego jako lekturę podstawową „Ogniem i Mieczem”. Lektura odbywa się w myśl wskazówek, częściowo w klasie, częściowo przygotowują uczniowie wskazane rozdziały w domu, w obu jednak wypadkach obowiązuje nauczyciela omówienie przeczytanych rozdziałów, rozbiór treści, dążący do tego, aby uczniowie zdali sobie sprawę z zagadnienia głównego, a zatem zagadnienia politycznego stosunków kozacko-pol-

kich. Aby dojść do celu trzeba bardzo wyraźnie roztrząsać momenty polityczne, dać charakterystykę głównych osób działających zarówno ze strony Polaków jak też i Kozaków. To są właśnie, zdaniem mojem, chwile, które nawet przy największej bezstronności i wielkim takcie nauczyciela nie dadzą pożądanego rezultatu w szkole rosyjskiej na kresach, prowadzonej najczęściej przez grono emigrantów Rosjan, względnie ludzi miejscowych, ale zawsze o tej samej psychice ludzi, uważających nas za intruzów, wręcz wrogo przeciwko nam usposobionych i temi pojęciami młodzież karmiących.

Lektura „Ogniem i Mieczem” nietylko nie zmatuje tych antagonizmów, ale przeciwnie, jeszcze go zaostrzy, a zaostrzy tembardziej, że tłumaczenie faktów historycznych przez historyka Rosjanina będzie się różniło od oświetlenia podanego przez polonistę nietylko pod względem podanej „prawdy historycznej” częstokroć na poziomie Howajskiego, ale przedewszystkiem tendencją, która znajdzie bezwzględnie oddźwięk w sercach młodzieży rosyjskiej. Dyscyplina szkolna, oparta na obawie, nie pozwoli wypowiedzieć się z nienawiścią, jaką w młodzieży budzą opisy walk, rzezi i t. d., ale dość jest obserwować klasę, aby z gry twarzy, półuśmiechów, a czasem nawet z wypowiedzianych zdań, odczuć to, co się czuje, a czego mówić nie wolno. Tego rodzaju lektura nie przynosi pożądanego korzyści, bo strona estetyczna, na którą też nacisk kłaść należy, ustępuje zupełnie na plan drugi, a częstokroć zanika.

Czy nie byłoby rzeczą możliwą i wskazaną, gdyby w szkołach rosyjskich w tej samej klasie 4-ej wziąć za lekturę podstawową „Krzyżaków” (obowiązujących jako lekturę domową w klasie 5-ej), których możnaby było czytać spokojnie, podkreślić tendencję, wykazać jednocześnie wszystkie walory talentu Sienkiewicza i jego znaczenie w naszej literaturze. Przygotowanie historyczne uczniów jest rzeczą obojętną w danym wypadku, bo wstępny kurs historii od 1—3 kl. traktuje obie te sprawy pobieżnie.

Wykład literatury polskiej w szkole obcej, w Polsce, ma nietylko na celu zapoznanie młodzieży z piśmiennictwem, ale przedewszystkiem zachęcenie jej do głębszego zapoznania się z dziełami naszych pisarzy i zrozumienie ich potęgi i wartości. I tu nasuwa mi się na myśl sprawa druga: jeśli parokrotnie podkreślano, że program literatury klasy V i VI nie może zainteresować i zachęcić do studjów samodzielnych naszej młodzieży, wskutek tego, iż język ówczesny i styl są często niezrozumiałe, a wogóle ciężkie, cóż mówić o młodzieży rosyjskiej, która w większości wypadków, rozumie liczone słowa, tem samem myśl ujmuje bardzo trudno, lub zupełnie jej sobie nie uświadamia. To znów zniechęca, a nie zachęca. Czy nie byłoby rzeczą możliwą, ze względu na znaczenie wychowawcze przedewszystkiem, a na kresach i polityczne, jakie ma szkoła mniejszościowa, zmienić program dla szkół rosyjskich w zakresie literatury polskiej. Wydaje mi się to zupełnie celowem, a nawet koniecznem. Przecież wykład języka polskiego w szkołach mniejszościowych ma zdaniem mojem, na celu zasymilowanie młodzieży obcej i urobienie z niej przyszłych lojalnych obywateli kraju.

Młodzież, która nie jest w gruncie rzeczy złą, poddałaby się w dużym stopniu temu gdyby nie: 1) kierownictwo i wpływ jego, idący we wręcz odmiennym kierunku,

2) trudność w uzyskaniu jednego polonisty dla całego zakładu. Najczęściej w szkołach rosyjskich wykład języka polskiego przypada paru osobom w udziale, a więc wykładającym dorywczo, o jakimś więc jednolitym kierunku niema mowy. Gdyby wykład języka był prowadzony przez jedną osobę, byłoby lepiej. Rozumiem, iż stanowisko polonisty będzie związane z całym szeregiem przykrości, że bronić się od tego będą same zakłady, podając jako motyw brak funduszy (jesteśmy płatni od godziny z potrąceniem wszelkich świąt), ale może zaradzićby się temu dało przez danie pewnych subsydjów, zmniejszenie ilości zakładów (dość licznych w niektórych kuratorjach) w imię tej wagi i znaczenia politycznego, jakie ma taka szkoła na kresach Rzeczypospolitej.

Marja Marczyńska.

Z NIWY POLONIKÓW

Mesjanizm w oczach obcych

Zainteresowanie dla mesjanizmu polskiego nie opuszcza światlejszych umysłów. W ostatnich czasach zanotować można na niwie poloników dwa artykuły, dotyczące mesjanizmu, tem bardziej znamienne, że ukazały się w krajach, gdzie kwitnie raczej filozofia pozytywna, gdzie polska twórczość wszelka niema licznych ani znawców, ani adeptów. W Szwajcarii, w zasłużonym przeglądzie naukowym i krytycznym p. t. „Bibliothèque Universelle et Revue de Geneve” pani A. L. Rose pisze w artykule „La philosophie messianique” o nieprzedawnionych wartościach dociekań metafizycznych i historjozoficznych Hoene-Wrońskiego. Zwłaszcza te ostatnie, jego pojęcie o końcowym etapie ewolucji w postaci tryumfu absolutnego sprawiedliwości, zdają się wyprzedzać analogiczne koncepcje Hegla, zadawalającego się powstaniem państwa na modłę pruską. W „The Contemporary Review” prof. W. Caldwell p. t. „Polish Messianism: Some Impression” zatrzymuje się dłużej na późniejszych doktrynach polskiego mesjanizmu, na nauce zawartej w „Ojcie Nasz” Cieszkowskiego, przyswojonem już literaturze angielskiej, dzięki przekładowi, dokonanemu przez W. J. Rose’a, który spędził szereg lat w Polsce i poświęcił wiele wysiłków dla zapoznania anglo-sasów z życiem tego „fascynującego kraju” wedle określenia prof. W. Caldwell’a.

Zbiorowa monografia o Polsce

Ukazało się w Berlinie dzieło, wzorowane poniekąd na wydanym w ubiegłym roku we Wiedniu albumie p. t. „Das heutige Polen”.

Jest to zeszyt specjalny, poświęcony Polsce, wydawnictwa periodycznego „Völkermagazin”. 230 stron formatu infolio z licznymi ilustracjami obrazuje w licznych informacyjnych i po części ogłoszeniowych artykułach wielostronny rozwój kultury polskiej duchowej i materialnej, tężyznę ekonomiczną i polityczną ojczyzny naszej. Między innymi o literaturze pisze K. Irzykowski, o muzyce K. Stromenger. Niewiadomo dlaczego artykuł o szkolnictwie

polkiem dr. K. Zbierskiego zdobią zdjęcia wnętrza poselstwa niemieckiego w Warszawie. Wizerunek zaś marszałka Piłsudskiego wygląda zabłąkany przypadkiem wśród kolumn masywnych artykułów o rozwoju przemysłu w Polsce. Brak spisu treści utrudnia zorientowanie się w całości kształcie materiału. Numer nie jest datowany ani miesiącem, ani rokiem; brak mu ostatecznego redakcyjnego „approbatur” w postaci wyżej wzmiankowanych niedociągnięć i drobnych innych usterek. Wszakże, jako jedna z prób pierwszych na terenie berlińskim, zasługuje na rozpowszechnienie wśród Niemców. Teksty zaś angielskie i francuskie niektórych artykułów, gwoli pretensjom tytułu tego „Völkermagazin”, zdają się poprostu zbyteczne. Wielojęzyczność w tym wypadku robi wrażenie wyraźnej propagandy, o której dobrze brzmi przysłowie francuskie „qui trop embrasse mal étreint”.

„Vive la Pologne, Monsieur!”

Okrzyk ten figuruje na karcie tytułowej nowej publikacji o sprawach polskich, ogłoszonej przez G. Peytavi de Faugeres, nakładem „Éditions de la Revue Mondiale”. Na łamach „Przeglądu Współczesnego” dwa lata temu prof. S. Wędkiewicz, w zeszycie wrześniowym 1926 r., umieścił garść uwag o tym okrzyku, rzuconym rzekomo w twarz Aleksandrowi II w Paryżu przez adwokata Floqueta, dochodząc do wniosku, że ta popularna legenda spełniła chlubnie swoją rolę w dziejach przyjaźni polsko-francuskiej. Snuł dalej na łamach tegoż „Przeglądu Współczesnego” wyjaśnienia o tej „legendzie” prof. R. Dyboski (w zeszycie listopadowym 1926 r.). Obecnie redaktor „Przeglądu Współczesnego” cytuje w tej sprawie opinię T. Boya-Zeleńskiego i ustęp z pamiętników Wł. Mickiewicza, które potwierdzają pogląd prof. Dyboskiego, że może z ust nie jednego, ale większej ilości ludzi rozległy się w owych czasach na ulicach Paryża okrzyki na cześć Polski, a „legenda” przypisała je jakiemuś jednemu heros eponymos, czy to Floquetowi, czy to Gambecie.

Przykład tych sumiennych, komntarzy polskich literatów i uczonych do zdania jednego, złożonego z czterech wyrazów, jest dobrym wzorem metod naukowych ścisłego dociekania w studjach nad silva rerum poloników, gdzie kryje się niejedna jeszcze niespodzianka, tem cenniejsza, gdy pozwala ustalić zjawisko zbiorowe zamiast odosobnionego faktu.

T. Gleyden

NOWOŚCI FRANCUSKIE

(*Vie de Racine Mauriac, wyd. Plon*)

Pisząc ostatnio o nowych książkach pisałem o powieści Mauriac'a Destin; dziś chcę pisać o tym samym pisarzu, bo trudno pominąć milczeniem jego kapitalną książkę *Vie de Racine*, która wyszła teraz w Plon w serii *Le Roman des Grandes Existences*.

Mauriac dał nam w niej nie tylko życie Racine'a, atmosferę dworu Ludwika XIV i Port Royal'u ale odkrył może więcej niż we wszystkich uprzed-

nich swych dziełach własne oblicze i własny niepokój człowieka odczuwającego, do głębi konflikt między religią i twórczością.

Nie wypadkowo wybrał Mauriac jako temat swej książki Racine'a.

Ten wielki klasyk był wychowany przez jan senistów, ludzi, dla których wszelka twórczość nie ściśle religijna a głównie teatr i powieść były występkiem zasługującym na wieczne potępienie. Młody Racine wierzył w Boga straszliwie surowego, który zaciemniając wzrok milionom ludzi skazanym bezpowrotnie na potępienie przeznaczają wieczną szczęśliwość w niebie tylko garści wybranych.

Ale młodzieńczy rozpęd Racine'a rozsądza ponure ramy religijne, jego wiersze zwracają uwagę dworu i w krótkim czasie staje się on największym poetą Francji, ulubieńcem króla i Wersalu.

W przeciągu dziesięciu lat żyje na dworze Ludwika XIV, jego tragedje mają szalone powodzenie, upaja go sława i łaska królewska.

Janseniści z którymi zrywa i na których nawet pisze gwałtowne pamflety — uważają go za człowieka straconego.

Nagle następuje zwrot w usposobieniu poety (nie ma on jeszcze wtedy 40 lat) straszny Bóg jego dzieciństwa odzyskuje nad nim władzę. Racine opuszcza dwór kochanki (okres ten jest jednocześnie okresem coraz wzrastającej niełaski króla) przestaje pisać świeckie tragedje, żeni się z kobietą, która nigdy ani jednego dzieła męża nie przeczyta, uważając je za dzieła grzeszne. Im bliższy śmierci tem bardziej w wierzeniach swoich surowy, w listach do syna karcę go gwałtownie za to, że go widziano w teatrze, oburza się że go interesują „takie błahostki”. Córki jego oprócz jednej wstępują do klasztoru, syn wierny ostatnim wskazaniom ojca spędza całe życie zupełnie samotnie wśród ksiąg w modlitwie, widząc truciznę i niebezpieczeństwo w każdym czynie, w każdym pokarmie ziemskim. Racine pierwszy wprowadził do literatury swej epoki miłość naprawdę tragiczną. To nie miłość — zabawka wczesniej czy później kończąca się zwycięstwem współczesnych mu poetów i powieściopisarzy.

W ciasne ramy pseudo klasycznej tragedji wnosi Racine żywą krew i miłość jego bohaterów jest siłą fatalną straszniejszą od śmierci.

Prawdziwie wielkie są postacie Hermione, (w *Andromagu*), Phedre kobiet, których ogarnęła ślepa żądza i które padają tej żądzy ofiarą.

Po przez serce własne prowadzi najpewniejsza droga poznania pisze Mauriac. I dlatego książka jego jest tak żywa, bo sama utor jest rozerwany wewnętrznie między miłością ziemską i niebieską i wszystkie jego powieści są wyrazem tego konfliktu.

Racine daje mu pole do wypowiedzenia szeregu myśli i uwag głębokich o życiu, sztuce o „odpowiedzialności, która gniecie każdego katolickiego powieściopisarza”.

I czujemy w tem wszystkim odgłosy Port Royal'u i Mauriac jest sam ilustracją twierdzenia, które wypowiada że jansenizm wywarł o wiele silniejszy wpływ we Francji niż by się zdawać mogło, że dotychczas jeszcze odnajdujemy ślady jego wpływu.

Mauriac ciekawie przeciwstawia umysłowość współczesną umysłowości ludzi epoki Racine'a.

Jasność była wtedy zasadniczym postulatem sztuki. Jeżeli Racine zamilkł wtedy właśnie kiedy w sumieniu jego powstały najgłębsze konflikty, to dlatego, że może się bał by jego ręka nie drgnęła, by nie sprzeniewierzyła się jasności.

Teraz szanujemy o wiele bardziej cały złożony świat naszej duszy idąc może do nowej syntezy nie czujemy się w prawie tak upraszczać problemu jak za czasów Racine'a, który potrafił życie swoje przedzielić na dwie połowy i przekląć w imię surowego Boga genialne dzieło swego życia.

J. Czapski

Z BIBLIJOFILSKIEJ ANTOLOGJI

Książki i gastronomia

Bo gdzież teraz szukać uczonych? W szkołach? nie masz ich; w sądach? tam ich nie słychać; w radnych izbach? tam ich nie widać; na poselstwach? tam ich nie znać; na zjazdach wojskowych, kołach, sejmach? tam o nich cicho. Gdzież tedy są? U stołu siedzą. Tam się cała mądrość przeniosła, tam plac pokazywania się, tam pole otwarte zawodów, zakładów, sprzeczek i utarczek umiejętności, tam jest jarmark na nauki, tam się dowcipy sprzedają, tam tanio wszystkiego dostaniesz; tu wszystkie starożytności, zabytki, wszystkie nowe wynalazki są na zbyciu, tu się cena kładzie na książki i pisarza, tu wszystko się rozstrząsa, futruje, odmienia i o każdej rzeczy tu wyroki dają. Stoły szlacheckie są teraz stolice mądrości, a szkoły, sądy, rady są warsztatem nieświadomości. Czas jedzenia jest teraz czasem uczenia; wszystko się teraz z gruntu odmieniło. Taki jest teraz wiek, aby wszystko na opak czynić! Są i na naszym świecie ludzie do góry nogami chodzący, jako mówi Seneka, i z niego wieszopis:

Gdy jeść trzeba się uczyć, gdy uczyć próżnują,
Gdy czuć trzeba wtedy śpią, a gdy spać to czują.
Kurczą się w obfitości, a w biedzie się sadzą,
Grają gdy radzić trzeba, gdy przegrali radzą,
Gdy w zgodzie żyć, biją się, gdy bić, uciekają.
W głowie się im zmaciło, wszystko przewracają.

Bo czyliż to nie wielka przewrotność, gdy ani ci uczą, co powinni, ani tego, co potrzeba, ani tak, jak należy, ani tam, gdzie przystoi, ani wtedy gdy przyzwoite? Panie panie, ani do twej twarzy, ani do twej głowy ani do mych teraz uszu przypada ta mowa; rozmawiajmy raczej o tem, co przed oczyma mamy, a nie szukajmy tego, co dawniej przed nami minęło, mówił grecki wierszopis bogatemu gospodarzowi:

Za potrawy są książki, za jadło czytanie;
Nie głowęśmy tu przyszli paść, lecz brzuch Mospanie.
Kto chce się uczyć razem, i jeść przez połowę,
Ten będzie miał żołądek czczy i pustą głowę.

Bo albo tacy czynią to z umysłu, i wtedy nauka (jako mówi Izokrat) niewczesna, albo z żartu i dla rozrywki, i wtedy do uczynienia uczonego niedostateczna.

(X. Ignacy Włodek: O naukach wyzwolonych, Rzym 1780). Wybrał Este.

ODPOWIEDZI GŁOSU PRAWDY LITERACKIEGO

Spera contra spem: Przeczytaliśmy nareszcie. Ma Pan swego rodzaju łatwość, banalną łatwość opowiadania, wzorowaną, niestety, na przeciętnej powieściowej literaturze. Nie przemyślał Pan porządnie ani jednego z poruszonych tematów. Czy sądzi Pan, że wystarcza t. zw. „opowiedzenie” jakiegoś wypadku, przygody, czy awantury aby już powstało t. zw. dzieło sztuki? Przeciętne opowiedzenie danego faktu nie posiada nawet wartości, czy ścisłości fotograficznej, a jakże daleko przeciwnej fotografii — do dzieła sztuki.

Porusza Pan historie nadzwyczajne. Polecamy, — skoro idzie Pan drogą tego rodzaju zaciekawień, — książeczkę, która wyszła w wyd. Rój, p. t. Człowiek o dwóch twarzach, Stevensona. Zobacz Pan tam, jak wielki mistrz rozwiązuje zagadnienie nadzwyczajności. Zobacz Pan, jak znakomicie, w nieuchwytny dla czytelnika sposób, osadza całą sprawę w kategoriach życia, moralności, wiary człowieka i nauki. Radzimy przeczytać tę książeczkę i dobrze zastanowić się nad wysiłkiem autora.

Oskar Zaw.: Tak, rzeba sobie powiedzieć, — trudno. Temat warjatów to chyba jeden z najtrudniejszych. Daje on pisarzowi pozorną swobodę: Wszystko mogę powiedzieć, bo przecież mówię z ramienia warjata. Niestety, — o dowolności tej wie też czytelnik. Czyli, jak długo dowolność owa nie układa się w pewien wyrafinowany system prawie nieuchwytny, skomplikowanej mistyfikacji Prawdy, — na zwykłe gadaniny warjackie czytelnik nie będzie zwracał żadnej uwagi. I ma rację. Radzimy Panu tedy, zabrać się do ludzi normalnych i porządnie ich studjować. A potem dopiero, — praca twórcza. Może nadesłże Pan jakąś inną próbę?

Żepuna: Bardzo nas cieszy pochwała dla naszych zecerów. Nikt nie przypuszcza, że Pana dobił i nikt nie chciał Pana dobijać. Nie można przecie dyskusji takiej prowadzić w nieskończoność, bo wszystkim wkońcu obrzydnie. 25-ciu groszy nie szkoda, gdyż zawsze miło nam czytać pańską namiętną obrazoburczą prozę.

F. Zar.: Przybyszewski miał słusność i dobrze tę rzecz odczuwał. Czas, już od dość dawna pracował przeciw Niemu. Może to zmieni się jeszcze? Niesłusznie atakuje Pan społeczeństwo. Czeką nas wszystkich cały Panteon Wielkich, którym nie uczyniono jeszcze zadość. Czyżby Pan nie pamiętał, że właściwie, niema jeszcze w Polsce ani jednego istotnie wielkiego pomnika Słowackiego, Prusa, Norwida?!

Ant. Biel. Prszków: Odlewni nie widać wcale. Przeciętny czytelnik nie zna się na tego rodzaju warsztatach. Trzeba było najprzód opisać, potem opis zamknąć w jednym ułatwiającym ów opis porównaniu. Tymczasem — nie przestaje Pan porównywać — i to dość nieszczęśliwie. Lepszy jest list. Mam nadzieję, że list ów zechce Pan przerobić. Oglądzić — jak mową profesorowie — styliści. W trzeciej zwrotce — „i oczom powiedzieć, gotowe entrez”. Czy uważa Pan ów ustęp za dobry?

Ala Mar. Nie będziemy drukowali tej Asi. Zbyt tkliwe i zbyt puste, proszę Pani. Niepodobna przecie kwilić tak i gaworzyć publicznie. Tembardziej, że gaworzono owo nie jest szczere. Podsztywa je Pani jakimś głębszym sensem moralnym, który zupełnie nie licuje z tak małą i nieszczerze naiwną formą wiersza.

REDAKTOR I WYDAWCA: WOJCIECH STPICZYNSKI

Drukarnia „Literacka”, N. Świat 22.

Przesyłka poet. opłacona ryczałtem.

akc. 330/610.